ŻYCIOWE SCENY.

OBRAZKI
HUMORYSTYCZNO-SATYRYCZNE

PRZEZ

EDWARDA BUKOWSKIEGO.

WARSZAWA.
Nakładem D. Lange, ulica Długa Nr. 557.

1876.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Сентября, 1876 года.

W Drukarni Jana Cotty, ulica Danielewiczowska Nr. 495 *a*.

Nową pracę składamy ubożuchnéj treści,
Trochę łez, śmiechu trochę—ot! co w sobie mieści;
Może w chwilach zadumy, cierpień i niedoli,
Kiedy kłopoty męczą, życie gniecie, boli,
Kiedy chmura ciężarem osiada u czoła,
Może, może w tych chwilach rozerwać Was zdoła.

Autor.

BOHATEROWIE.

Życie komedją przeróżnéj treści,
Pełną komizmu, pełną boleści...
Ma bohaterów zdolnych i lichych,
Współpracowników sumiennych, cichych.
Szereg komparsów największy w świecie,
Szych i kinkiety — i blagę przecie.
Na téj to scenie w każdy dzień Boży,
Hufiec aktorów wiecznie się mnoży.
Każdy dostaje rolę w udziale
I gra ją nędznie albo wspaniale.

Popatrzmy tylko: Judejczyk wzrasta,
Nagi i głodny wśród murów miasta,
Każdy grosz w handel zamienia chciwie,
Uciech nie szuka w wódce i piwie —
Liche miłostki rzuca na stronę,
W szesnastym roku zaślubia żonę —
I już we dwoje taczkę żywota
Ciągną, w nadziei zdobycia złota.
W lat kilkanaście, a toż to dziwy!
Z handlarza szpilek, bankier prawdziwy,
Bez znajomości świata, nauki...
Czyż nie bohater istny to sztuki?

Tam znów syn gminu własnemi siły,
Zdobywa wiedzy przybytek miły,

I w równéj walce acz w innym celu,
Po latach pracy i głodu wielu
Staje u kresu — i wiedzy plony
Sypie na okół uszczęśliwiony.
Taką wytrwałość uznają wnuki,
Boć to prawdziwy bohater sztuki.

A tych znów ludzi tysiączne roje,
Co niemal wszystkie godziny swoje,
W imię żołądka i potrzeb imię
Topią w kadzideł pochlebnym dymie,
Lub ci — idee których téj treści,
Że wielkie herby praca zbezcześci,
Mimo dostatków, mimo nauki,
Nie sąż to tylko komparsy sztuki?

Z ŻYCIA.

Marja była prześliczną, prześliczną w téj chwili,
Gdyśmy roili przyszłość o szczęściu marzyli.
Jéj dłoń w uścisku mojéj, oko jéj w mém oku,
Oddech przy moich ustach, bok przy moim boku
I wszystkie wszystkie myśli w jedną treść objęte,
Śpiewały nam uczucia i czyste i święte.
„Czy ty mię kochasz jeszcze — zapytała mile,
Czy za uczuć bez miary, za poświęceń tyle...
Czy nie zwiedziesz mię luby? Nie zwiedziesz, ja wierzę,
Kochaj, kochaj mnie wiecznie i wiecznie i szczerze.
Czy ty mię kochasz jeszcze — umarłabym pewnie
Gdybyś..." I tu pieszczota zapłakała rzewnie.
W trzy miesiące! tak prędko! śliczna ta istota
Zapragnęła powozów, brylantów i złota.
Czas jakiś wiódł ją przepych po życia bezdrożach,
Dziś widuję ją jeszcze — lecz już nie w powozach.

DAWNIÉJ I TERAZ.

Bywało dawniéj praojców matki,
Strojne w perkale, z kluczyków pękiem;
Z pogodną twarzą, z uśmiechem, wdziękiem
Wciąż się krzątały wedle swéj chatki.
Był więc dostatek był grosz w kalecie...
I cześć składano takiéj kobiecie.
Na przypadłości zdrojowa woda,
W rzeczułce ojców letnie kąpiele;
Było to wtedy i zdrowia wiele,
Nóg nie krzywiła korkowa moda...
Rodzone włosy krył czepiec biały,
Miłą skromnością wszystkie jaśniały.
Bywało, dziewczę gdy ukochało
Rzeźkiego chłopca, — to raczka spiekła,...
I dłoń podając, serdecznie rzekła:
Że go już kocha duszą swą całą
I w dom wnosiła uczciwość, cnotę,
Myśli pobożne i serce złote.
Miasto materji, pereł i złota,
Szły gospodarskie stroje i statki;
Na pierwszy darek miała pieszczota
Uwagi ojca i rady matki.
I czy zrodzona w chacie, czy w dworze,
Od rówienniczek miała „Szczęść Boże."
Teraz, ha! spójrzcie: włos pobielony,
Marszczki zorały twarz uciech sytą;
A ona przecie modną kobietą,
Zalotnie zérka na wszystkie strony.
I dumna z siebie — choć w kole ludzi,
Piękna ta pani śmiech tylko budzi.
Lada zachcenie, wreszcie ból głowy,
Żądza przejażdżki, na męża łowy,

Chęć brylowania sprawia że córy —
Ba! matki same strojne w turniury,
W koki, Bóg wie jak... pędzą w nadziei,
Że się tam marjaż korzystny sklei.
I gdy się wreszcie skojarzą śluby,
Marzysz o szczęściu, rodzinie, cnocie,
Żonka ci szepcze w słodkiéj pieszczocie:
Strój od Herse'go kupże mi luby!
Skrzywisz się wprawdzie — lecz trudna rada,
Żoneczka prosi, kupić wypada.
A gospodarstwo! To gminu sprawy,
Brudzić paluszki, e! to nie ładnie;
Nie dziw, że przejdzie fortuna snadnie,
Że ją pochłoną: nierząd, zabawy.
Bo dawne cnoty znikły bez wieści,
Emancypuje się ród niewieści!
To téż widzimy że czépki matek,
Ich strój, dziś śmieszny, ich pracowitość
I cnót niewieścich wieczna obfitość...
Co wyradzały szczęście, dostatek,
Niosły szacunek; — gdy dziś niestety!
Lekceważymy nasze kobiety.

Brat Łata w Warszawie.

A! na mój honor! głupie to sprawy,
Zjechać na kilka dni do Warszawy,
Toć tu Krezusem człowieka widzą —
I zedrą dobrze i jeszcze szydzą.
Ot w interesach, jak chciało licho,
Zjechałem sobie skromnie i cicho.
Jamę mi jakąś zamieszkać dali
Bodaj to wszyscy djabli porwali!

*
* *

Głodny i niedziw, jak po podróży
Zwłaszcza, apetyt nie źle mi służy —
Więc do jadalni zachodzę żwawo,
Wnet się rozglądam, w lewo i w prawo...
Krzyczę na panny — jak mi Bóg miły!
Wszystkie młodymi zajęte były.
Nic nie pomaga choć się człek żali,
Bodaj to wszyscy djabli porwali!

*
* *

Po dwóch objadach zdrzémać się mile,
Ledwie człek zasnął — alić za chwilę,
Szturmują do drzwi — co u kaduka?
Bez ceremonji ktoś sobie sztuka.
Otwieram tedy... żydziak pejsaty,
Chce prezentować szpilki, krawaty,
Na samym wstępie sen mi przerwali,
Bodaj to wszyscy djabli porwali!

*
* *

Wieczorem teatr — ha! myślę tedy,
Człek się zabawi, jakoś od biedy...
A lubię teatr, wyznać to mogę,
Wtém ci przyjaciel zachodzi drogę.
Stary znajomy, więc oczywiście
Dajemy sobie buzi siarczyście...
Tymczasem miejsca już rozsprzedali,
Bodaj to wszyscy djabli porwali!

*
* *

Co robić pytam? — Ha moja rada
Założyć, mówi — pólkę wypada.
Wnet też stosowną czwórkę wybiera,
I przy kieliszkach zabawa szczera.
Punkt po trzy grosze — ależ do czarta!
Ani w ząb panie nie idzie karta.
Dwadzieścia rubli człeka ograli,
Bodaj to wszyscy djabli porwali!

*
* *

Jużby człek uciekł ale niestety!
Toć i sprawunki dały kobiety,
Téj kapelusik, tamtéj kok suty,
Ciotce węgierskie jakieś tam buty...
Ha! nie ma rady, uzbrojon groszem
Idę — i wracam z sprawunków koszem.
Do dna kieszenie mi przetrzepali,
Bodaj to wszyscy djabli porwali!

*
* *

W drodze do domu roję już sobie,
Jaką uciechę kobietom zrobię.
Aliści ledwie cna magnifika
Dotknęła koka — druga trzewika,
Daléj łajania, wymówki, krzyki,
Że kok rudawy, małe trzewiki.
I krzyczą w domu starzy czy mali,
Bodaj to wszyscy djabli porwali!

Z TAJEMNIC WISŁY.

(Fragment).

. . . .

> Héj! ty Wisło modra rzeko pcd lasem,
> A mam ci ja pęk fujarek za pasem,
> A jak ci ja na fujarce zagraję,
> Usłyszy mię moje dziewczę o staje.
>
> *J. K. Gregorowicz.*

A piękną była Wisła, ta rzek naszych macierz,
Jeszcze nic nie zmąciło sennego łożyska,
Spokojnie sobie tylko dźwięczała swój pacierz,
A trzeba by go człowiek mógł usłyszeć zblizka,
By mógł utonąć duszą w tym plusku, w tym szmerze,
A rozmodli się pewnie a rozrzewni szczerze.
I patrząc na te fale, jak zlekka się pienią,
Na te łany złociste okryte zielenią,

marzeń i cierpień? ...

Na całunki rzucane dla nadbrzeżnych dzieci,
Wisło! to w każdém oku łza szczęścia zaświeci.

. . . .

Był ranek wonny, cichy, majowy poranek,
Dzień zluzował kochankę światłości kochanek.
W cichym powiewie wiatru, w lekkim liści szmerze,
Zasełało stworzenie hymmy i pacierze —
A wśród téj słodkiéj ciszy, uroku i woni,
Ptaszę mknąc pod obłoki piosnkę swoją dzwoni.
Prócz téj ptaszęcéj pieśni słychać inne tony,
Rolnicy porzucali płagi swe i brony
Aby z poczciwych piersi poczciwe swe głosy,
Na skrzydełkach ptaszęcia zasłać pod niebiosy.
Waraha! słychać zdala — to krzyki oryle,
Wypływają z przystani i mkną już — za chwilę,
Tratwy rodzimych sosen i budulec stary,
Zamienią nam sąsiedzi na bite talary.
Waraha! krzyczy retman i spokojne fale
Małém swojém czółenkiem rozpruwa zuchwale.
Waraha! krzyczą chłopcy a głos silny, młody
Łączy się z smutnym pluskiem skarżącéj się wody;
Ona chciałaby jeszcze pomarzyć, a przecie
Dokuczliwy ten ciężar musi nieść na grzbiecie.
Waraha! dźwięczą głosy śmiechu i wesela,
Jeden tylko z wioślarzy krzyków nie podziela.
Na piersi zwiesił głowę, na dłoń oparł skronie,
Modli się lub w zadumce tęsknéj jakiéj tonie.
Dziwnie strój ten odbija w obec ślicznéj twarzy,
Na któréj zda się jasno rozum z czuciem gwarzy.
Może mieć lat dwadzieścia — jasne wielkie oko,
W głębinę tych fal szarych zatopił głęboko,
Rękę zwiesił bezsilnie, nie karcą go za to,
Ręka biała i w pierścień przybrana bogato.
Długo tak marzył młodzian — aż ciężkie westchnienie
Zakończyło zadumę — podniósł białe czoło,
Weseléj spojrzał na świat chociaż nie wesoło
I jasnych swoich włosów poprawił pierścienie.

. . . .

Opodal na pomoście stał starzec wybladły,
Rosły, szczupły, o twarzy pomarszczonéj, suchéj,
Oczy jasniały blaskiem choć w jamy zapadły,
A z całéj téj postaci tchnął ból jakiś głuchy.
Siwe sumiaste wąsy sterczały tak dumnie
Jakby biegły do oczu, jakby im mówiły,
Że spoglądają na świat ciepło i rozumnie,
Że nie straciły jeszcze dawnéj młodéj siły.
To starszyna dróżyny — oryl z krwi i kości,
Od pół wieku na wodzie każde lato gości.
Zna on wszystkie kaprysy przejrzystéj téj pani,
Wie jak minąć mieliznę, gdzie mknąć do przystani.
Ojcem zowią go wszyscy — i tysiączne wieści,
Krążą o tym poczciwym charakterze ducha;
Chociaż całą dróżynę karci a nie pieści,
Kochają go — i głosu starca każdy słucha.
Ojciec Marcin, jak głoszą orylskie podania,
W młodości był to chłopak z miny i z czupryny;
Lgnął do dziewcząt, do niego lgnęły też dziewczyny,
Aż go owiało słodkie uczucie kochania.
Ożenił się, miał domek, szczęście i dostatek,
Ale brakło pociechy, bo Bóg nie dał dziatek.
Bolał nad tém nasz Marcin, bolała i żona —
Aż téż ciągłą tęsknotą dręczona, trawiona,
Czując że odmówiono jéj już miana matki,
Straciła świeżość, krasę i zdrowia ostatki.
Ha! trudno — Bóg powołał biedną do swéj chwały,
Dla Marcina więc runął życia urok cały.
Od téj chwili posępne nosił Marcin lica,
Posępnie na świat piękny patrzyła źrenica,
Jednak jak mówią druhy, to w każdéj zadumie,
Łza tam wisi na rzęsach — snać człek ten czuć umie.

. . . .

Długo, długo tak patrzył na młodzieńca postać,
Co czynić myślał Marcin, żeby go wydostać

Z owych marzeń i cierpień? Paniątko to jawnie,
Hm .. na tratwach z chołotą — przykro i zabawnie.
Co go spowodowało? do pracy ochota,
Gdzie tam! panicz to wątły i dużo ma złota.
Hm, hm... tak roił Marcin przeróżne domysły,
Pierwszy raz to dziwactwo wiózł na falach Wisły.
A wiedział to z postawy, majątku, oblicza,
Że na wodnym pomoście przewozi panicza.
Kto on? Może poradą ulżéć będzie można,
Zapytam — wszak nie wstydzi ciekawość niezdrożna.
I podszedł właśnie w chwili gdy ten podniósł czoło,
Kiedy spojrzał weseléj chociaż nie wesoło.
— Paniczu! „Witaj ojcze," — odpowiedział skromnie.
— Nie gniewasz się, że Marcin przerywa twą ciszę?
„Gniewać się, że łaskawie zaszedłeś tu do mnie,
Cieszę się gdy poczciwy, mądry głos twój słyszę!"
— Bo to widzisz paniczu smutnie mi się widzi,
Panicz widno to życie strasznie sobie brzydzi.
Wiecznie, chmura na ustach i chmura na czole,
Dali Bóg! mnie choć smutno weselić się wolę.
Jakie tam troski gniotą taką młodą duszę,
Nie wiem — ale że smutne, domyślać się muszę.
Może... bo to panowie różne mają gusta,
Przejechać się po wodzie zabłysła myśl pusta,
Bez żadnego namysłu, tak sobie bez celu...
Może miłosny zawód, na co cierpi wielu;
A może... — tutaj przerwał, wzniósł do nieba oko,
Machnął ręką i westchnął przeciągle głęboko.
„Marcinie, — szepnął młodzian — w pielgrzymce żywota,
Stąpać trzeba po drodze pełnéj róż i błota,
Chwytać rozkoszne wonie i wyziewy straszne,
Pieścić i gorączkowo szarpać dłonie własne,
Taka dola człowieka na smutnym padole,
Nie dziw więc, że raz szczęście, raz boleść na czole,
Nie dziw — ale mój drogi, powiedz mi łaskawie,
Jak prędko się znajdziemy w saméj już Warszawie.
Bo tam się już zatrzymam, tam oh! tamuj ona!
Anioł! szatan! kobieta podła lub szalona.

Co mówię, oh! nie słuchaj albo słuchaj raczéj,
Utoń duszę w szaleństwie, bólu i rozpaczy,
Lub śmiéj się; śmiechem leczą głupotę — głupota,
To z życiowéj téj drogi także cząstka błota.
Ta do mózgu się ciśnie, przyrasta a potém
Wyswobodzić się od niéj trudno choćby złotem.
Ale co ja cię nudzę swojemi wywody,
Wybacz, majaczę sobie jak to pusty, młody.
Bezmyślnie — raczéj z myślą boleśną, szaloną,
Oh! bo ty nie wiesz starcze jak płonie me łono,
Jak drgają wszystkie nerwy, jak wstrząsa się ciało,
Dla mnie życie przegadać byłoby za mało.“
— Na Boga! mów paniczu, otrzéj krwawe oczy,
Zrzuć ciężar co pierś twoją tak okrutnie tłoczy,
Jam prosty tylko człowiek lecz wiem z opowieści,
Że w zwierzeniu się ulgi bardzo wiele mieści.
Oby ulżyło tobie. Mówisz o Warszawie,
Właśnie już pod jéj mury podpływamy prawie,
Parę godzin — a wnet ci przed naszemi oczy
Poczciwe swoje szaty wspaniale roztoczy.
Tam to uciech nie mało... dziewic ślicznych krocie,
Nie brak ci na urodzie, nie brak ci na złocie,
Każda z nich albo zacna albo znów szalona,
Rozerwiesz się paniczu, „Starcze! tam jest ona,
Ona, dla któréj życie oddałbym z uśmiechem,
A którą jednak kochać to już chyba grzechem.

. . . .

Posłuchaj! jestem dzieckiem poczciwego łona,
Z życiem zabrałem życie biednéj mojéj matki;
Już dziecięca kolebka była otoczona
W pieczołowitość obcych, w ojcowskie dostatki.
Bogatym był mój ojciec, miał trzy własne wioski;
Żył więc suto, buńczucznie, jak wielu bez troski.
A że był młodym jeszcze więc po matki skonie,
Z inną małżeńskim węzłem oplątał swe dłonie.
Macocha była dobrą, kochała mię szczerze;
Bywało nie raz chłopię na ręce swe bierze

I pieści — macierzyństwo z pieszczot owych wiało,
Więc ją też ukochałem duszą moją całą.
Miałem wówczas rok piąty — pojmowałem przecie,
Że i dziecięciu smutno gdy samo to dziecię...
A w całym naszym dworze oprócz mnie nie było
Dziecięcia, z którém biegać byłoby tak miło.
Skarżyłem się więc ojcu i nowéj téj matce;
Aż też gdzieś tam w ustroniu w leśniczego chatce,
Znalazł ojciec sierotę bez ojca, bez matki,
Którą przyjął leśniczy do gościnnéj chatki.
Śliczne to było dziecię, blade, wątłe, tkliwe,
A w twarzach nas obojga podobieństwo żywe.
Wnet też ją pokochałem jak siostrę — a ona,
Zwieszając drobne rączki na moje ramiona,
Szeptała, że jéj przy mnie swobodnie, wesoło,
Albo na piersi mojéj oparłszy swe czoło,
Tak mile, tak rozkosznie oplotła w swe dłonie,
Żem całował jéj włosy i czoło i skronie.
Wszyscy kochali bardzo nadobne to dziecię;
Ojciec wyrzekł raz nawet, że nigdy ją w świecie
Nie wypuści z opieki, chce aby ta mała
Kształciła się wraz ze mną i wychowywała.
Wzrastaliśmy — w lat kilka ot! zwykłe mozoły,
Trzeba było odjechać, odjechać do szkoły.
Pamiętam że płakałem, a Halinka zbladła
„Kochaj mię,“ wymówiła i zemdlona padła.
A w głowie méj się snuły myśli różnéj treści,
Pełne wspomnień dziecięcych i pełne boleści.
Odjechałem — w lat kilka wzrosłem na młodziana,
Wzrosła i ona cudnie, ta moja świetlana!
I często bardzo często mówiła rozkosznie,
Że tylko moją będzie jak więcéj podrośnie.
I odtąd roiliśmy przyszłość — dziś niestety!
Kobieta warta rojeń... rojenia kobiety.

. . . .

Tak przeszło nam lat parę — szczęśliwy, wesoły
Skończyłem już nareszcie uprzykrzone szkoły.

I wracam — obym nigdy nie powrócił raczéj,
Wracam oh! zadrżéj starcze lub zamilcz z rozpaczy.
Ból! rozpacz, zemsta wreszcie owiewa mię wściekła.
Ona! cóż, z aktorami przedemną uciekła.
Ona! co tak anielsko „Kocham“ szczebiotała,
Starcze! drażni mię teraz mowa ludzka cała.
Myśli plączą się dziko... W pierwszéj zaraz dobie,
Jak szaleniec pragnąłem w łeb wypalić sobie.
Oprzytomniałem jednak i natomiast wolę
Widzieć ją i tę hańbę czytać na jéj czole.
Spojrzéć w zdradliwe oczy i szyderczym śmiechem
Zabić ją. — „Tak zabijać paniczu, nie grzechem?
Ale ciągnął znów Marcin ja mam inne zdanie,
Na cóż ci się paniczu przyda to kochanie?
Niegodnie zapomniała — zapomniéć ją zatém,
Zapomniéj i na nowo pogódź się ze światem.“
Tak perswadował Marcin długo i rozumnie,
Młodzian tylko spoglądał i ostro i dumnie,
Tém wejrzeniem co jawnie obawy już budzi,
Że wyzwie niebo, ziemię i wodę i ludzi.

. . . .

W kilka dni, w jednym z mniejszych, modnym teatrzyku
Odnalazł młodzian cenny skarb swój zatracony;
Ile przy tém spotkaniu było łez i krzyku,
Ile zaklęć, wymówek i na jakie tony,
Nie wiemy — lecz ich ciągle widujemy z sobą,
A młodzian nosi za nią paczki z garderobą.

JAM NIE ZAZDROSNA.

(Z medytacji panny Klary).

Jam nie zazdrosna — lecz widzę przecie,
Że niesumiennie dzieje się w świecie,
Że wdzięki wiedną, wzrastają chęci,
Młodzież za groszem tylko się kręci...

I stare panny, wdowy garbate,
Zaślubia chętnie byle bogate...
Biedni nie wiedzą, że w życia drodze
Posag ich grzbiety obciąży srodze.

Jam nie zazdrosna, ale niestety!
Patrzę się z gniewem na te kobiety,
Co w tak kosztowne, wykwintne stroje,
Przyodziewają powaby swoje.
Wprawdzie tém każdy jest zachwycony,
Ale koszt za to i koszt szalony!
Wszak skromna suknia to samo sprawi,
Zachęci więcéj, choć mniéj zabawi.

Jam nie zazdrosna, tylko mnie boli,
Jeśli ze żartu lub ze swawoli,
Ktoś urąganiem zalotność płaci;
Toć i ja męża chcę w kole braci.
Mam równe prawa, młodość, przymioty,
Najlepsze serce, charakter złoty,
Ba! i w przyszłości podobno krocie,
Gdyż tam gdzieś w świecie mam aż trzy ciocie.

Jam nie zazdrosna, jednakże szczerze
Godzi się wyznać w ważnéj téj mierze,
Że onych mężatek nie małe koło,
Co czas w zabawie pędzą wesoło,
O obowiązkach myśleć nie umie,
Że z nas nie jedna lepiéj rozumie,
Czém obowiązki żony i matki
I jak domowe zdwajać dostatki.

Jam nie złośliwa, każdy mi przyzna,
Jednakże powiem, że dziś mężczyzna
Stary czy młody... mądry czy... wreszcie
Niegodzien „kocham“ wyrzec niewieście.
W dzieciństwie bowiem bywa tak przecie,
Szumi, szaleje na bożym świecie,
Wyziębi serce wśród zwycięztw... blagi,
W końcu gagatek łowi posagi.

NOC W BIELANACH.

(Kilka sonetów z natury).

Ucichły krzyki, pijatyka... tany...
Lasek Bielański mruczy swe pacierze,
Czasem głos ludzki zadźwięczy w tym szmerze,
Tu owdzie sunie wędrowiec pijany...
A tam gdzie sosen wycięte szeregi
Wisła obmywa zbrudzone swe brzegi.

* * *

Cicho i głucho, a tylko w oddali
Bieleje wioska, czernią się kominy;
Sąsiedztwo Bielan — tak zwane Młociny,
A w tych Młocinach nie wszyscy snać spali —
Bo płyną z wiatrem, krzyki, śpiewy, wrzawa,
Widno że jeszcze gości tu Warszawa.

* * *

Iście za chwile różnych cieniów rzesza,
Z wiejskiego domku ku karczmie pospiesza.
Cudny był obraz, gdy go oświeciła
Łojówka szynku — boć młodzież to była.
Co tu nocując, zapragnęła mile
Zakropić jeszcze bezsenności chwile.

* * *

Więc najprzód młodzian z głową ryżo-włosą
Mknie bez surduta — drugi przy nim boso.
Trzeci owity w prześcieradła fałdy,
Mknie jak duch puszczy i dumny i hardy;
Wiodąc też innych co w pochodu chwili,
Skromne kostjumy kołdrami okryli.

* * *

Karczma — upiorów nocnych liczne koło,
Już z kielichami harcuje wesoło!
Twarze ich zdobią w pół pijane śmiechy
Radość... i tylko z pod wieśniaczéj strzechy
Spojrzenie chłopka zdziwieniem zaświeci,
Że się tak pięknie bawią miasta dzieci.

GAWĘDA.

— Cóż ci to panie Jacku? — Słabym nie na żarty,
Calutką noc nie spałem. — Grałeś pewnie w karty,
Jak zawsze. — Tak coś... niby... i wierz mi sąsiedzie,
Że złamiesz palec w mléku jeślić się nie wiedzie.
Janek urządził objad... objadek aż miło...
I jadło się nie mało i nie mało piło —
Po winie, Benedyktyn — i kaci nadali,
Żeśmy się jakoś wszyscy potrosze schlapali,
Co robić? ot! preferka zakładają tedy...
A skromnie, po trzy grosze, jakto w czasie biedy,
Siadam i ja, boć przecie dla przyjaciół grona,
Cygan, czy tam cyganka, jak wiesz powieszona.
Na początek... ho! świetnie, wesprze się kaleta,
Rżnę totusa! co powiesz biorą na waleta...
Na czwartego waleta!.. niech go woda spali...
Ani w ząb, w końcu puli — djable mnie zabrali.
Dziewięć rubli jak obszył — to panie nie żarty,
Rzucam ci tedy wściekły zgubne dla mnie karty
I zakrapiam zmartwienie, skromną lampką wina,
Aż tu się dziatwa w sztosa rozgrywać zaczyna.
Grać nie grać? Próbuj szczęścia, tak rozsądek radzi,
Spróbować tedy myślę, może nie zawadzi,
Zabrali djabli krowę, niech wezmą i cielę,
A wreszcie stawiać będę na kartę nie wiele.
Biorę damę — a ona — ot! jakto kobieta,
Zawiodła naturalnie — ha! zwiodła i kwita!...
Hola! krzyknąłem pani... już ja wolę tuza,
Stawiam grubo — co powiesz — znów złapałem guza.
A niech cię sto kaduków!.. wiem tedy co zrobię,
Nefkę, kochaną Nefkę trzeba wybrać sobie,
Ona pewnie nie zdradzi boć to ulubiona,
Co powiesz — na kaczałce szelma rozwalona.
Do pioruna! ostatnią i grubo postawię,
A krew ci mi się burzy, jakto w téj zabawie...

Pięćdziesiąt rubli krzyczę — wreszcie, patrzę, widzę...
Brrm, brrm, odtąd dwójkami na wieki się brzydzę.
Zgrałem się, jak szewc bracie, prosta to przyczyna,
Żem gwiznął znów lampeczkę — lecz Benedyktyna.
Zrobiło mi się rzeźwiéj — powracam do domu,
Co powiesz — nie dość straty, trzeba jeszcze sromu,
Widzę, wyraźnie widzę, jak Adaś — ten młody...
Całuje moją żonę w pyzate jagody.
A tuś mi!... a ci oni śmieją się przyjemnie,
Że mi się tak zdawało wmawiają ci we mnie.
Co robić mościdzieju! djable kusa rada,
Przepraszam tedy żonę, przepraszam sąsiada,
Idę spać, klnąc sąsiadów, objady, wieczory...
Ot! i powiedz mój drogi — nie jestem że chory?

W KLUBIE PUFISTÓW.

Obszerną salę zajęli rycerze,
Każdy za kubek i kostkę się bierze —
Szepty i znaki — a wspólników rzesza,
Grze téj szlachetnéj z pieniędzmi pospiesza.
Dym papierosów i woń czarnéj kawy,
Podwaja jeszcze urok téj zabawy.
Przy każdym stole dwóch szermierzy siada,
Przy każdéj parze znów widzów gromada...
Ci grają „z boku,“ różnie, jak się zdarzy,
Tanio lub drogo — a na każdéj twarzy
Czytasz chęć zysku, chęć zdobyczy łatwéj
Co się potrzebą stała owéj dziatwy.
Miła to dziatwa i w każdy dzień boży,
Poczciwa knajpa pufistów swych mnoży,
Z rankiem już zaraz widać przednie straże,
Czy się tak zwany fryc tu nie pokaże.

Jeźli się znajdzie wnet zdolniejszy z grona,
Bierze na siebie nowego gawrona.
Następstwa proste — przyjaźnie, życzliwie,
Przy szklance kawy albo też przy piwie,
Bój się zaczyna — walka równa prawie,
Ten, ów, rubelka przegrywa w zabawie,
Daléj drugiego... i w końcu tak bywa,
Że się nowicjusz co do grosza zgrywa,
Tu naturalnie, że połów ten cały
Idzie natychmiast na równiutkie działy.
W gronie pufistów sumienność prawdziwa,
Tak się tu wszystko szlachetnie odbywa...
A nieświadomy w kole owych braci,
Jeden przegrywa, dziesięciu bogaci.

Co tobie nie miło nie czyń bliźniemu.

(Obrazek z bruku).

Pan Jacek, jak mawiał, urodził się pod nieszczęśliwą gwiazdą; nieprzyjemności towarzyszyły mu wszędzie, uosobione w pięknéj jego połowie, która za wiele kochając męża, wszędzie i ciągle śledziła jego kroki.

Pan Jacek był sobie zresztą pełen wesołości, pełen apetytu — a co największa pełen pełnych kieszeni. Kiedy się ma pieniądze, miewa się zachcianki; zachcianki pana Jacka, przeważnie opierały się na jedzeniu i piciu. Jeść zaś i pić na samotnika, to nieprzyjemnie co prawda, w kole znów męzkiém zwyczajna nudota — dla rozmaitości tedy, spotkawszy znajomą piękność, zaprosił ją na kolację.

Zaledwie pierwszy kieliszek zmoczył usta naszego bohatera, aliści w pokoju tym ukazuje się nowa para, w któréj o zgrozo! pan Jacek poznaje rodzoną żonę i nieznajomego mężczyznę. Krew zrumieniła jego policzki.

— Co to jest! zawołał zrywając się z miejsca — zasełając jednocześnie znak swéj towarzyszce, która zrozumiawszy rzecz całą, natychmiast opuściła salę.

— To, nic — odrzekła obojętnie pani Jackowa — i odwróciwszy się do towarzyszącego jéj mężczyzny, kazała dysponować kolację.

— Wyjdźmy ztąd—syknął hamując gniew małżonek.

— Po kolacyi — odpowiedziała małżonka siadając spokojnie.

Położenie było drażliwe. Drżący z gniewu, z zaciśniętemi piersi, przyglądać się musiał pan Jacek całemu szeregowi potraw i wybornemu apetytowi nieznajomego, który, nauczony widocznie, na uniesienie pana Jacka, ziewaniem odpowiadał tylko.

Trwało to czas jakiś. Po dostatnim posiłku, pani Jackowa zapłaciła rachunek.

Z oczu pana Jacka strzelały iskry...

— Nędznicy! zawołał wybiegając na ulicę, tak jawna podłość... przy mnie, w moich oczach...

Pani Jackowa uprzejmie podała rękę nieznajomemu, który téż nie zważając na klątwy pana Jacka, oddalił się niebawem.

Co stało się później, tego już nie wiemy, wiemy tylko, że nauczka poskutkowała widocznie; bowiem od téj chwili, pan Jacek sumiennie pilnuje żony.

SIOSTRZANE DUSZE.

(Scena w salonie).

C ó r k a.

I cóż nareszcie mama o panu Wacławie?..
Nic nie mówi, to dobrze — głowę w zakład stawię,
Że myśli mi ci co prędzéj sprzątnąć go z przed nosa.

M a m a.

Co ty pleciesz złośnico! takiego młokosa...
Mam przecie lat trzydzieści...

C ó r k a.

Po licha te kpiny,
Słyszę o téj trzydziestce od małéj dzieciny,
Kiedy jeszcze majteczki...

M a m a.

Błaźnicaś i basta!
Kobieta nigdy laty swojemi nie szasta —
I ty masz już dwadzieścia i to jeszcze z górą,
A szeŝnaście ci liczę, ty! nie dobra córo!

C ó r k a.

Eh! co tam, mniejsza o to, tu są inne sprawy,
Zna nas, jak to wiesz mama, czwarta część Warszawy,
A opinja nie hi hi! jak się Wacław dowie...
Zostanę starym gratem, w całém tego słowie.

M a m a.

Ale co ja mam robić?

C ó r k a.

Nie mizdrzyć się saméj,
Ot! przyjąć zwykłą rolę kochającéj mamy,
Wybadać... spytać Wacka, a to tak z ostrożna...
Toć przecie umiejętnie wszystko zrobić można,
Nie tak jak do téj chwili, co to... żal się Boże!
Zdecydować się Wacław istotnie nie może.
Kocha się niby we mnie — alić tylko wchodzi,
Mama mu zaraz sama wszystkie chwile słodzi.
Kręci się, wierci przy nim, jak subretka płocha,
Ztąd odgadnąć nie może, która z nas go kocha.
Jeźli zaś złapać męża chce się mamie wielce,
To ja sama poradzę w takiéj bagatelce —
I odstąpię Augusta — stary on, garbaty,
Ale dorzeczny przecie i dosyć bogaty.
Czy zgoda?

M a m a.

No zgoda, zgoda, ty złośnico płocha!
Ty wiesz, że twoja matka tylko ciebie kocha,
Będziesz miała Wacława — ale w zamian za to,
Sprawisz futro koteczko i suknię bogatą,
Czy dobrze?

C ó r k a.

Dobrze, dobrze wszystko zrobię przecie,
Byle mię już mężatką nazywali w świecie.

(Zasłona spada).

Z NOTATEK LORKI.

Wieczór w Dolinie spędziłam słodko,
Zwał mię swą lubą, swoją pieszczotką...
Bawił się szumnie, suto, w szampana,
Choć kantorzysta bawił się w pana.
Nie wiedział pewnie biedny chłopczyna,
Jak w pole umie wywieść dziewczyna.
W oświadczeń steku, drżący nieśmiało
Sięgnął do kiesy i ot nawiasem
Rzekł: czy też pani nie trzeba czasem...
Głupi, tę kiesę wzięłabym całą —
Lecz przyzwoitość... więc rzekłam skromnie,
Niechaj połowa należy do mnie.
Z drugiéj połowy chłopczyna miły
Spłacił rachunek, odwiózł do domu —
I tu szepnęłam tak... pokryjomu,
Że go już kocham z całéj méj siły.
Więc do widzenia! jutro... w Dolinie,
Trzeba wypróżnić kieszeń chłopczynie.

Z Motywów panicza.

Dziwni są ludzie jak honor cenię!
Chcą bym pracował, słyszane rzeczy;
Jam młody, piękny nikt nie zaprzeczy...
A ślicznych kobiet... a fe! sumienie.
Dziwni są ludzie w życia arenie,
Szulerstwem zowią prostą grę w karty;
Prawda że czasem... ale to żarty,
Ciągnę *pewniaczka*... a fe! sumienie.
Dziwni są ludzie niby na scenie
Morały prawią żem blagier, proszę;
Wszak dla mnie mają wartość swą grosze,
Więc skłamać czasem... a fe! sumienie.

Dziwni są ludzie — dla mnie zbawienie,
To smaczny pokarm i pełna kiesa;
Więc aby dobrze szły interesa,
Kiedy kraść można... a fe! sumienie.

SCENY MAŁŻEŃSKIE.

Pan Marcin człek poczciwy, przyjemny, bogaty,
Łączył warunek czwarty, był sobie żonaty.
Sobie, bo naturalnie jeżeli się kto żeni,
To, czy czyni dla serca czy téż dla kieszeni,
Zawsze tylko dla siebie, chociaż czasem bywa,
Że nie wszystko jest swojém choć się tak nazywa —
Lecz to rzecz filozofji — rzućmy więc na stronę,
Dość na têm, że pan Marcin miał wyraźną żonę.
Wyraźną, bo to tusza i wzrost owéj damy.
Mogły zaimponować nawet Florze saméj.
Gdzie, jak, kiedy się sprzęgło poczciwe to stadło
Wié przeszłość—bo w jéj tajniach zdawna to zapadło.
Miał żonę to rzecz jasna, męża miała żona,
Poznali się, ślub wzięli — ot! i rzecz skończona.
Żeby jednak rzecz czystą, postawić na czysto
Powiemy, że pan Marcin był kapitalistą.
Grał na Giełdzie, wygrywał, przegrywał, jak bywa...
Raz nam stawka dopiszę, a raz znów przegrywa.
Słowem w domu dostatek był co się nazywa
A brakło, to już chyba ptasiego mleczywa.
Raz — a w lecie to było — o śpóźnionéj porze
Cokolwiek podchlapany Marcin poczciwina,
Wraca sobie do domu lecz frafić nie może...
„Żono! poświeć że mi,“ krzyczéć już zaczyna —
I tak się kołatając wszedł nareszcie w progi.
— Mój mąż! a... mężuleczku! jak się masz mój drogi!
Chciałam wyjść na spotkanie — pozwólże kochanie,
Przejdziemy się, powietrze śliczne o téj porze;
Pójdź-że pójdź! — „Ale duszko widzisz w takim stanie...“
— Pójdź-że pójdź — to i tobie dobrze zrobić może.

Wyszli — a po spacerze nieco orzeźwiony
Gdy wracał, poznał Marcin że szedł z innéj strony.
Co to by się stać mogło sądzić nie wypada,
Pan Marcin jednak sądzi, że był u sąsiada.

Smutne a prawdziwe.

Śliczną była, —z téj ślicznéj postaci niewieściéj
Wiał urok, co rozkosze wszystkie w sobie mieści.
Młodością tchnęła dusza a modre jéj oczy,
Przyoblekły się w rozum i w zachwyt uroczy.
Nic nie brakło téj cudnéj powiewnéj postaci,
Łączyła w sobie wszystko co serce bogaci.
Taką była, dla takiéj młodzieży téż roje,
Składało uwielbienia i nadzieje swoje...
Ona wdzięczném serduszkiem przyjmowała mile,
Zabiegów i uwielbień razem westchnień tyle.
Nie jedna pierś miłością drgała na jéj postać;
Ona, wołała jednak na zawsze pozostać,
Wiedziona jakąś złota gorączką szaloną,
Miljonera kochanką, niż biednego żoną.

SZCZEROŚĆ.

Dobrze mi z tobą pani — całunki, pieszczoty,
Uśmiech twój czarujący — blask włosów twych złoty
Rozmarza mię — do związku bierze aż ochota,
Lecz jeżli miłe wdzięki, milsze dźwięki złota.

Z pieśni ludowych.

Tam za lasem daleko,
Po nad modrą tą rzeką,
Stoi dworek dziedzica
A w nim cudna dziewica.
Zkąd się wzięło to dziecię,
W wiejskim naszém tu świecie?
Kiedy dotąd nikt zgoła,
Nie znał tego anioła.
Pan nasz wdowiec bogaty,
Co objeżdzał wciąż światy,
Dzisiaj wszystkie godziny
Spędza u téj dziewczyny.
Szesnaście lat ma ona,
Smutna wciąż, złzawiona,
Widno w złotéj niewoli,
Młode serce ją boli.
Różnie sądzą ludziska,
Ten i ów potwarz ciska.
Boć nie każdy to czuje,
Że pan pannie ojcuje.

OBYWATELE.

Co się to znaczy miły sąsiedzie,
Nieświadomego objaśnij przecie;
Jakże tu żyją w Warszawskim świecie?
Narzekań wiele słyszę o biedzie...
Ale im wierzyć nie mogę wcale,
Toć wyglądacie arcy wspaniale!...
Strojni jak niby na wielkie święta...
A jakie sute tu kobiecięta.
Ot! tak na chwilę zwiedź ze swéj łaski,
Ogród Krasiński lub ogród Saski,

Spacerujących znajdziesz tam krocie;
Wszystko w jedwabiach, brylantach, złocie,
Jak gadaniną lichą się bawią —
I bezowocnie czas drogi trawią.
Zkądże więc biorą? — wiadomo przecie,
Że trzeba na chléb pracować w świecie.
Jakże tu znowu powiedz sąsiedzie,
Wychowywują rodzice dzieci;
Zajrzyj do knajpy, tak po obiedzie,
Czas ci tam pewnie mile przeleci;
Toć w każdéj ujrzysz tych fąflów roje,
Jak pięknie ćwiczą muskuły swoje,
Jak dzielnie piją, gwiżdżą, śpiewają,
A już jak starzy tak w billard grają.
Co się to znaczy, powiedz-że proszę,
Zkąd zdobywają trudne dziś grosze?
I jaka przyszłość młodzież tę czeka,
Toć każdy dzieckiem przeżył człowieka.
Gdy w wiośnie życia siły potarga,
Skromność uczucia tak wcześnie zszarga,
Brudów, występków popełni wiele,
Jacyż to będą obywatele?

OSZCZĘDNOŚĆ.

Ze wszech stron słychać narzekań krocie.
Zacny Onufry w ciągłym kłopocie
Licząc wydatków szereg zbyt długi,
Na raz oddalił z domu dwie sługi,
Zmniejszył kuchenne żony wydatki;
Jejmość się krzywi, krzywią się dziatki.
Ale cóż robić? oszczędność przecie
To droga bytu na naszym świecie.

A on oszczędny — zaświadczeń krocie
Znajdziecie w handlach naszego bruku,
Jak pan Onufry wiecznie w kłopocie,
Spędza godziny wśród korków huku.
I chociaż smakosz, musi biedaczek,
Na dwa rubelki pić zieleniaczek.
I przez oszczędność jak sam powiada,
U ludzi tylko śniadania jada.

A pani Klara? wszak wie świat cały,
Że ekonomji wzór to wspaniały!
Sama kupuje, gotuje, smaży,
Białe paluszki brudzi i parzy,
O grosz z przekupką wiedzie targ długi,
Mlekiem i chlebem karmi swe sługi.
Dwu-potrawowe zjada objadki,
Byle powiększyć tylko dostatki.
W ciasnym lokalu z dziećmi się mieści,
Niech ją podziwia nasz świat niewieści.
Napojem dla niéj najczystsza woda,
A oszczędności pochłania... moda.

Panicz, bo znowu wyznać się godzi,
Że oszczędnymi są téż i młodzi;
Na ojców glebie sieje i orze,
To téż i z długów przecie wyjść może —
Ale cóż kiedy wpadłszy do miasta,
W tydzień oszczędność roczną przeszasta.

Tak w ważnéj kwestji, czy w bagatelce,
Myśmy oszczędni, oszczędni wielce.

Z pieśni ludowych.

Oj! smutny dziaduś nasz stary,
Modli się tylko w pokorze;
Pociechy szuka wśród wiary,
Boć ta pocieszyć go może.

A dawniéj, dawniéj przed laty,
Toć pamiętamy go przecie;
Był wesół, kraśny, bogaty,
I żył szczęśliwie na świecie.
Miał żonę kraśną jak zorze,
Dziecię, jak aniołek złoty,
Aż miło było mój Boże!
Widziéć te wszystkie pieszczoty.
Aż tu — a było to w lecie,
Zajeżdza handlarz od bydła,
Różne tam duby jéj plecie;
A ta mu wierzy przebrzydła —
I w tydzień potém o dziwy!
Znikła gdzieś, znikła bez wieści;
Pozostał mąż nieszczęśliwy,
Już tylko z córą się pieści.
Wzrosła w lat kilka dziewczyna,
Jak matki obraz jedyny;
Jak róża albo malina...
Nie było milszéj dziewczyny.
Była pociechą rodzica,
Taka słodziuchna i grzeczna,
Jak jaka dworska dziewczyna,
Nad wiek rozumna, stateczna.
Aliści — dreszcz już przechodzi...
Zjechał do dworu pan młody;
Wnet się poznali jak młodzi,
Co mają krasne jagody.
Panicz zaprzysiągł że wiecznie,
Kochać ją będzie jedynie;
Przysięgał słodko i grzecznie,
Aż zabrał serce dziewczynie.
W miesiąc opuścił sierotę,
Wciąż z bólu, z żalu płakała;
Oh! bo go wielce kochała,
Dała mu młodość i cnotę.
To téż umarła nieboga,
Dziaduś sam został na świecie,

A my się modlim do Boga,
Żeby przebaczył jéj przecie.
Ztąd smutny dziaduś nasz stary,
Tylko się modli w pokorze;
Szuka pociechy wśród wiary,
Wiara pocieszyć go może.

NASZE SĄDY.

Jeżeli panicz z dziada pradziada,
Jaką fortunkę jeszcze posiada...
I miłym groszem wśród murów miasta,
W gronie przyjaciół codziennie szasta,
Choć nic nie robi, świat powie przecie,
Że ładnie żyje na bożym świecie.
Ale ubogim, gdy zbraknie pracy,
Kiedy niedola ich ciśnie;
Patrzymy na nich zaraz zawistnie,
To pasożyty, to są próżniacy!
Takiemu ręki nikt z nas nie poda,
Bo u nas słowa, nie czynu moda.
Jeźli salonów piękna władczyni,
Któréj to życie płynie tak ładnie;
Niedorzeczności, szaleństwa czyni...
I mówiąc prawdę, często upadnie...
Świat ją wykwintną zowie istotą,
Bo brudy duszy pokrywa złoto.
A jeźli dziewczę, wśród sideł miasta,
Bez rad, opieki, sierotą wzrasta,
I w ciągłych walkach rada nie rada,
Prędzéj czy późniéj smutnie upada...
Wnet potępienia ciężar ją zgniecie,
Bo to ubogie, sieroce dziecię!
Słowem w wad naszych i grzechów lesie,

Temu jedynie schlebiamy mile,
Co uprzyjemnia lub bawi chwilę.
I w każdéj kwestji i w każdéj mierze,
Pięknie działamy lecz... na papierze.

Obrazek parafjalny.

Powrócił panicz prosto z Paryża,
Wąsik cacany, hiszpanka ryża,
Szyk w całéj pozie, że co się zowie...
A jak tam pięknie musi być w głowie?
Ile to wiedzy... boć wiemy o tém,
Jakiem to grubém okupił złotem,
Więc na przyjęcie papa dobrodziéj,
Wyprawia balik, jak się to godzi.
Suto z szampanem, by uczcić przecie,
To wykształcone, to modne dziecię,
Już gości chmara gwarzy w salonie,
Poważne mamy — w poważném gronie.
I dziewic z tuzin, wszystko to czeka,
Byle wielkiego ujrzeć człowieka.
Panicza nie ma, co u kaduka!
Darmo go papa we dworze szuka;
Nie ma i nie ma — panicz tymczasem
Za jakąś wiochną sunie pod lasem,
Już, już dobiega — dziewczę w krzyk głośny,
A był to kwiatek szesnastéj wiosny,
Biała i kraśna, jak niby łania,
Krzykiem się tylko zwierzu obrania.
Na krzyk dziewczęcia gajowy z lasu,
Co się w niéj kochał z dawnego czasu,
Wybiega chyżo — widzi niestety!
Śmiałość fircyka, walkę kobiety.
Więc sunie żwawo, wściekłością płonie,
Śmiałego panka porywa w dłonie;

Za swą zniewagę — honor niewieści,
Dalej okładać ile się zmieści.
Walka tam była smutna i długa,
Aliści nadbiegł ze dworu sługa,
Co poszukując panicza w lasku,
Wyrwał go z walki wśród bólu, wrzasku.
Papa o fakcie uprzedzon żwawo,
Z bijącém sercem, źrenicą krwawą,
Pożegnał gości — a wieść ta o tém
Wnet błyskawicy przebiegła lotem,
Ba! o mil dziesięć wiedzą dokładnie,
Jak sprezentował się panicz ładnie.

I TACY BYWAJĄ.

Była sierotą — skarbem jéj całym,
Bogactwo wiedzy jaką zdobyła;
Z tym więc posagiem pracy wspaniałym,
Majętnych dzieci za chleb uczyła.
Była też piękną, twarzyczka biała
Przy skromnym stroju mile jaśniała.
I on był młody — w zachwytu sile,
Przysiągł jéj wszystkie poświęcić chwile —
A był artystą i w duszę dziewy,
Rzucał miłosne, namiętne śpiewy.
Ona ufała, miłości siła
Niewinne dziewczę wnet ujarzmiła.
W zamianie uczuć dziewa odkryła,
Że po mozolnéj a długiéj pracy,
Maleńką kwotę zaoszczędziła,
Będą się mogli dźwignąć biedacy.
On słuchał rojeń i upojony,
Dzięki swéj sile, dzięki miłości;
Smutnéj jéj pracy wziął oszczędności,
I czmychnął wreszcie w dalekie strony.

Z Tragi-Komedji życia.

Bóg tchnął w łono artysty nieprzebrane skarby,
Warsztatem jego były: paletra i farby.
Pracował — a tak wiele wytwarzał artysta,
Kiedy twarz sportretował — zda się rzeczywista.
Zda się jakby mówiła, jakby mówić chciała,
Że w życiu ta twarz jedna aż dwóch twórców miała.
Umarł w trzydziestéj wiośnie — nikt nie wspomniał przecie,
Że ten prawdziwy talent wegetował w świecie.
Dlaczego? orzec trudno, gazeciarzy grono
Na pogrzebowy kondukt widno nie proszono.

Z parafjalnych plotek.

Wdowa X. a z majątku wszystkim znana dama,
Wśród rozległych swych włości, opuszczona, sama,
Zapragnęła dla siebie Rządcy by ten przecie
W kłopotach gospodarczych mógł ulżeć kobiecie.
W tym celu też pewnego pięknego wieczora,
Zawezwała Icyka zdolnego faktora.
Długo szeptali z sobą — szeptów tych owoce,
Rządca — a gospodarzy i przez dnie i noce.
I choć dobry gospodarz, mówią jednak wszędzie,
Że nierolny dobytek dworowi przybędzie.

SCENY MAŁŻEŃSKIE.

Dwoje ich było w milczeniu ponurem,
Żona kładła kabałę — mąż kreślił coś piórem.
Poczém wstali w milczeniu — on wyszedł z salonu,
Pożegnał ją najzimniéj — rzecz dobrego tonu.

I poszedł w Stare miasto, gdzie Lorka zbytnica,
W téj chwili karminami przystrajała lica.
Uścisnęli się słodko — butelka węgrzyna
Sprawiła, że go mile przyjęła dziewczyna.
Żona wyszła téż wkrótce i jak głosi fama,
To w gabinecie Andzi śniadała... nie sama.

MAŁPA i SROKA.

(Bajka).

— Dla czego! raz pytała Sroka swawolnica,
Nasza pani ma zawsze zrumienione lica?
Że nie często podobne spotkać mi się zdarzy;
„Dla czego? pragniesz wiedzieć — spytaj aptekarzy."

Z KOMEDJI ŻYCIA.

Mama Klodzi i Kłodzia żyły z sobą zgodnie,
Jednako się stroiły naturalnie modnie...
I chęci za mąż pójścia nietaiły wcale,
Ztąd mama wyprawiała wieczorki i bale...
Gdzie się téż młódź zbierała rozmaitéj treści,
Ceniąc ten dom gościnny — gościnno-niewieści.
Dodać bowiem wypada, że ta pani mama,
Była wdową, w czterdziestce (tak głosiła sama),
Była powabna jeszcze, pięknie miała w główce,
I czy licho nadało, aż dwakroć w gotówce!
W bojowaniu o posag nasi łowcy mili
I przy bogatéj mamie chętnie się kręcili,
Szczególniej, to wyraźnie zaznaczamy sobie,
Był jeden — tego panie polubiły obie.
Alfons było mu imię — był młody i hoży,
Z doświadczenia jednakże poznał już świat boży —

I wiedział o czém wreszcie każdy wie dokładnie,
Że życie bez pieniędzy wygląda niełądnie!
W obec tak pięknych zasad zrozumiał dobrodziéj,
Że z córką będzie słodko, ale z mamą słodziéj.
Za córką bowiem cząstkę, z mamą całość bierze,
Nie dziw, że się téż w mamie zakochał i szczerze.
Miłość lubi, jeźli jéj towarzyszą grosze,
Wspierała więc babina, młodziana po trosze,
A że wszystko w swym czasie koniec znajdzie przecie,
Nie dziw, że się wybrały banknoty w kalecie —
I to do dna wybrały. W obec prawdy nagiéj,
Kiedy panie straciły pokaźne posagi,
Wypadało wziąć jedną, pracować na obie;
Młodzian więc piękny planik wytworzył wnet sobie,
I zabrawszy co było jeszcze do zabrania
Czmychnął — lecz w każdym liście, swym paniom się kłania.

Z PIEŚNI LUDOWYCH.

Smutno mi smutno na świecie,
Śmiech mi już ustek nie krasi;
Stokroć szczęśliwsi ci ptasi,
Bo śpiewać mogą nam przecie.
Ziarnkiem nakarmi się głodne,
Pod skrzydła matki się tuli;
Ona zaśpiewa mu luli!...
I ptaszę zaśnie swobodne.
Ja nie mam ojca, ni matki,
Nie mam ni kwiatka w ogrodzie,
Nie mam odziewku, ni chatki,
Obcym pracuję o głodzie.
I chyba tylko pan w niebie,
Ulży nieszczęsnéj w niedoli;
On wie jak życie mię boli,
Może mię weźmie do siebie.

Z MOICH STRON.

Sąsiad Jacenty, człek staréj daty,
Chociaż zgarbiony, choć szpakowaty,
Umyślił wreszcie w starości dobie,
Posażną wdówkę poślubić sobie.
Najprzód więc tedy jakto się godzi,
W miłe konkury codziennie chodzi...
Stroi się modnie, mile układa,
Ogniście czucia swe wypowiada.
Cukry i kwiaty co dnia przynosi,
Wreszcie stanowczo o rękę prosi.
Pani Agata zważywszy ściśle
I powab związku i jego skutki;
Postanowiła już po namyśle,
Na żonę zmienić tytulik wdówki.
Licho nadało że pan Jacenty,
Jak się to trafia trochę podcięty —
Gdy poczmerało mu nieco w głowie,
Siostrzana swego przedstawił wdowie.
Siostrzan był młody, zręczny, układny,
Dosyć rozumny i wcale ładny,
Nie dziw że wkrótce, bo przez godzinę,
Podbił zwycięźko ciepłą babinę;
W grochowy Jacka ubrali wieniec,
I... narzeczonę zabrał siostrzeniec.

Z pieśni ludowych.

Oj! ciężko w życia niedoli,
Stąpać sierocéj dziecinie;
Młode swe lata przeboli,
I zginie wśród ludzi zginie.

A przecie mówią ludziska,
Że w świecie żyje pań krocie,
Co chodzą w perłach i w złocie,
Z herbami noszą nazwiska.
Mówią że jasne te panie,
Ratują biedne sieroty;
Że w każdym ubogim stanie,
Szukają nędzy a cnoty.
Czemuż to o mnie niebodze,
Nikt im choć słowa nie powie:
Toć leżę chora przy drodze,
Straciłam siły i zdrowie.
Głód mi dokucza boleśnie,
Ogniem się głowa ma pali;
Smutno umierać tak wcześnie,
Żeby mi wody choć dali.

Z SATYRY LUDOWÉJ.

Oj! płynie modra Wisła
Oj! do Gdańska płynie;
Oj! przysięga dziś panicz,
Uroczéj dziewczynie.
Oj! szkoda cię dziewczyno,
Oj! strasznie cię szkoda;
Bo przysięgi popłyną,
Jak popłynie woda.
A znamyż, znamyż przecie,
Te lisie piosenki;
Boć żyjemy na świecie,
Zdawna Bogu dzięki.

Dziś pieści on twą głowę,
Pieści zwój warkoczy;
I wnet cię znów opuści,
Ino inną zoczy.
Bo panicz dziecko miasta,
Nie dla dziewki z sioła,
Dotąd kochać cię będzie,
Aż zwiedzie i basta;
I żal ino zostanie,
I tęsknota ino,
Żeś za swoje kochanie,
Zhańbiona dziewczyno.

Z MOICH STRON.

Gdzie to było, zmilczéć muszę,
Choć się dławię, choć się krztuszę,
Dość że było, było w mieście,
No i w lubelskiém nareszcie.
W pewnym domu, w wielkim domu,
Trzy nadobne papy córy,
Obmyśliwszy planik z góry,
Chciały... chciały pokryjomu,
W dniu imienin swego papy,
Stworzyć teatr amatorski;
Lecz personel nie bogaty!...
Ztąd kłopoty, zwady, troski...
Ot! jak zwykle tu na dobie,
Wynalazły panny sobie
Stasia... Stasia, był on przecie
Znanym w dramatycznym świecie.
Gdyż się kochał kiedyś wielce,
W pewnéj aktorce Anielce.
Stasio tedy rad potrzebie,
Bohaterem stwarza siebie.
A bohater to nie lada,
Ot na miarę porównanie,
Że za czterech dziennie jada,
A już pije co sił stanie.
Więc i role już rozdano,
Ze sztuczki znanéj wam przecie,
„Fortepjan Berty" grać miano,
A brylancik to jak wiecie.
Nadszedł i dzień pożądany,
Gości zebrała się chmara;
Boć dziś talent ukrywany,
Miała odkryć panna Klara.
Bije siódma, już w salonie,
Cni widzowie siedzą w gronie;

Bohatera jeszcze nie ma;
Panna nudzi się i zżyma.
Czeka jeszcze — jeszcze zwleka,
A zebranych grono czeka.
Już dziesiąta — co to znaczy?
Panna gniewna, ba! w rozpaczy...
A w tém goniec spieszy z miasta...
I wyjaśnia pomieszany,
Że śpi Stasio podchlapany,
Więc z teatrem na dziś... basta!...

OBRAZEK BEZ TYTUŁU.

Zaszło już słońce i czarna szata,
Wokół oblekła ziemię ponuro;
W pokoju swoim wieszcz dzierżył pióro
I dumał dumał, o losie świata.
Dumał i dumał — wieszcze swe oko,
Zwiesił w przestworze — westchnął głęboko.
I pisać począł — i pisał wiele,
O swéj Klotyldzie o swym aniele.
Tu bo nawiasem wyrzec wypada,
Że wieszcz pokochał kobietę miłą...
I od téj chwili nie śpi... nie jada...
Oh! bo ją wieszczą pokochał siłą.
Ile téj siły dźwigał w swém łonie,
Tego nikt chyba wykryć nie umie,
Dość, że mu zwiędły lica i skronie,
Dość, że zabrakło czegoś w rozumie...
Gdy już napisał sonet gorący,
Pragnął go oddać swojéj królowéj;
Więc pod jéj okno zbliżył się drżący...
I wszczął się pierwszy atak bojowy.
Tu już wbrew woli wykryć wam muszę,
Że cna Klotylda była mężatką,

I miała w domu śliczne dwie dusze,
Co na jéj męża wołały tatko.
Wieszcz spojrzał w okno — spojrzał, o nieba!
Rąbek firanki odkrył dokładnie,
O czém wam wreszcie wiedzieć nie trzeba,
Jak wyglądała Klotylda ładnie.
W nocnéj sukience siedziała ona,
Wyraźnie w nocnéj — włos rozpuszczony,
W pół zamyślona, w pół rozmodlona,
A z jéj postaci wiał czar szalony.
I wieszcz wytrzeszczył zamglone oczy,
Poił mu zmysły widok kobiety...
Aż tu mąż z kijem nagle wyskoczy,
No i obłożył wieszcza niestety!

BEZ TYTUŁU.

Powiastka w obrazkach.

Kocio był ulubieńcem demi-mondu. Młody, przystojny szatyn, średniego wzrostu, o gładkiéj twarzy, zdobnéj małemi wąsy, gładkiém proporcjonalném czole i ładnych niebieskich oczach. Oczy Kocia miały wyraz inteligentny i rzewny; intenligentnym bo był téż Kocio, co do rzewności, to już w chwili rozpoczęcia naszego opowiadania, uczucie to było mu obcém zupełnie.

Kocio czułostek nie lubił, z porywów szlachetnych śmiał się a o sercu najmniejszego nie miał pojęcia. Czy w stanie téj niezwykłéj zimnoty urodził się na świat boży, czy czułą jego strunę oziębiło życie, twarde warunki bytu? jedno i drugie potrosze — a obcowanie w młodości wczesnéj z kolegami najwięcéj.

Kocio w téj chwili liczy lat trzydzieści. Zaranie jego wróżyło mu świetną przyszłość, ale okoliczności zrządziły inaczéj. Wcześnie osierocony, odziedziczywszy spory spadek, zaczął żyć na własną rękę, to znaczy, że do czynienia źle lub dobrze nie widział żadnych przeszkód, że postępowania jego nikt nie karcił, a przeciwnie chwalono je ogólnie. Grono młodzieży do którego zapisał się Kocio, zazdrościło przystojnemu chłopcu swobody, pieniędzy, jakiemi rzucał naówczas.

To na własną rękę życie, rozpoczął Kocio w ośmnastéj wiośnie. Z początku bywaniem w teatrze, późniéj za-

chodzeniem do knajp i kawiarni, gdzie téż billardowi i niebillardowi szulerzy, zwrócili na chłopca swe oczy.

Zwrócić na siebie oczy szulerów, jest to utracić już wiele... panowie ci umieją tak zręcznie zapoznać się i podobać, potrafią daléj tak zająć i bawić nie szczędząc i kosztów nawet, aż prędzéj czy późniéj starania te opłacą im się sowicie. Proces ten odbywa się bardzo naturalnie, pierwszy lepszy z braci po kartach, zwąchawszy podobnego ptaszka, zastawia natychmiast swą siatkę; posługują mu téż zaraz „*dzieci*“ wyrażenie ogólne, malujące ludzi żyjących *przemysłem*, co znaczy znowu sprytem i kawałami.

To ostatnie wyrażenie, utarło się już zdawna; zrobić kawał, jest to odrwić, okpić, oszukać, okraść nawet. Kawały, mają téż klasyfikację własną, są niewinne — w ich przekonaniu — i głupie pociągające za sobą kompromitację, ujawnienie lub karę. *Dzieci* więc to twórcy kawałów, niekiedy dowcipnych bardzo. *Dzieci* więc dowcipnych kawałów, mają bogatszą nazwę; zowią się mądrémi dziećmi.

Mądre *dzieci* wyróżniają się i tém jeszcze, że umieją wszystko, to jest: grać w karty na pewno, w pufa, w billard, w domino, w ogóle na wszystkich szulerskich instrumentach. Stanowią liczne bardzo koło, miewają dostatnie kochanki, które również zręcznie wynajdywać potrafią. Tu naturalnie nie krępują się żadnymi względy. Kochanka takiego dziecka, może być i innych kochanką, byle od niego nic nie wymagała, a nawet w potrzebie zasilała groszem. To téż widzieć tych panów można strojnych zawsze z gustem, jeżdżących powozami nawet, źródło czego leży w szulerce i kobietach.

Głupsze *dzieci*, to ci wszyscy znowu, którzy straciwszy już wszystko: majątek, posady, słowem to, co stałe utrzymanie daje, plączą się przy nich, w charakterze *podstawiaczy*, *telegrafistów* i faktorów.

Każdy z nich jednak w potrzebie potrafi być wszystkiém. Jeżeli traf podsunie mu fryca, odda go natychmiast mądrzejszemu, który pieniędzmi i dowcipem obierze nowicjusza do grosza. W grze w domino znowu, telegrafista taki staje za krzesłem *cudzego*, zdradza znakami jego kości, ułatwiając tém samém wygranę. Dostaje za to względnie do umowy: połowę, trzecią część, różnie.

Niekiedy, ba! często zdarza się także, że wtajemniczony we wszystkie sztuczki mądrych, na własną rękę ubije interes, wtedy imponuje czas jakiś, dopóki bieda do lichszéj nie zwróci go roli.

Dzieci te, nie pną się wysoko; polem popisów ich i zysków, są kawiarnie, ciemne ciche jamy, niekiedy hotele i prywatne domy, że nie mówimy już o jarmarkach, proboszczach (choć Bogu dzięki tych ostatnich niewielu) do których zaglądają często, najdowcipniejsze wynajdując pozory.

To *dzieci* demi-mondu. Wielki świat zaparł przed nimi progi, przyczyna czego leży w braku stosunków, stanowisk, i większéj części salonowego poloru.

Fachowcy ci, mają między sobą w każdéj gałęzi mistrzów, grających we wszystko dobrze, ale w jedną z gier najlepiéj. Są więc najlepsi karciarze, pufiści, billardziści, dominiarze, kręglarze nawet i w miarę potrzeby posiłkują się wspólnie.

Panowie ci, umieją wyszukiwać siebie; przeważnie po kawiarniach, bawarjach; wiedzą téż wszystko co się dzieje w mieście, ba! wiedzą nawet co i po za miastem.

Literaturę kalendarzową cenią najwyżéj, niektórzy téż z nich najdokładniéj o wszystkich wiedzą jarmarkach, na których zarabiają grubo.

Mądrzy szulerzy na zawołanie dostają pieniędzy; usłużni synowie Judei i tu jak wszędzie procentują swoje kapitały, ba! i osobiste zdolności.

Kocio zwrócił na siebie uwagę tych panów.

W karnawale to było. Moda knajpowych publicznych zabaw rozwielmożniła się. Ośmnastoletni Kocio był na balu. Publiczność balową, składały wolnych myśli damy, różnych powabów i strojów, ale jednakiéj moralności. Otaczało ich kilkunastu różnego wieku panów, przeważnie podtatusiałych lub siwych. To poważni mężowie i ojcowie rodzin. Kłopoty domowe, ciągła monotonność, zapędziły aż tutaj tych panów, żeby rozweselić się trochę. To téż spotykają się tu i poznają niektórzy, parskając sobie śmiechem w oczy.

— Ach! to mi — woła otyły jegomość — niespodzianka! witając siwego już mężczyznę.

— Ja bo sam jeden jak kołek... ale Radca? hi, hi hi!

— No cóż tak dziwnego — tłómaczy pan Radca, człowiekowi smutno... chcę się rozweselić, tak na gapia... słowo honoru!

— Porywcze to zaręczenie zdradza jakoś, że to nie tylko na gapia... złośliwie dorzucił grubas.

— Ale co znowu... ot ciotka werbowała mię od dawna — a wiesz, że to dawniéj...

— Dawniéj, — przerwał jegomość — mogła być niczego...

— Dawniéj! — oburzył się Radca — ona i dziś jeszcze... niech ją kaci porwą!..

— Radco, Radczuniu! obmawiasz mię chyba, odezwał się ochrypły już nieco głosik gospodyni domu — ciągle patrzysz na mnie, a szepczesz coś temu panu.

— Eh! gdzie tam moja ciociu! ktoby cię obmawiał? Mówiłem nawet żeś i dziś śliczna — to mówiąc ujął ją wpół, usiłując podrzucić w górę.

— Fe! panie Radco! jak Bozię kocham to nie ładnie...

— Te re fe re! nam wszystko ładnie. Bywało przecie...

— Ciotko! szampana! — zawołał w téj chwili Kocio. Cóż to! rozromansowałaś się babulo?

— Jak Bozię kocham, to nie ładnie panie Konstanty, tak mię przezywać, nie romansowałam, jak Bozię kocham. Oh! ty mój śliczny — dodała — szczypiąc go w rękę.

— Bez tych karesów. Dawaj szampana!

Ciocia gosposia, była to poważna już dama, lat czterdziestu kilku, pokaźnéj otyłości. Czerwone jéj policzki zdobiło kilka rzuconych muszek, w robieniu których celowała ciocia. Małe siwe oczy, przymrużone, zalotnie przegradzał zadarty romansowy nosek, pod którym grube małe usta, kryły co prawda, dwa rzędy prześlicznych zębów. Zębami temi poszczycić by się mogła najpiękniejsza kobieta w świecie, gdy tymczasem ciocia przeklinała je wiecznie, bo śliczne te zęby, śliczne wydarły jéj... grosze. Broda cioci dziwnie odbijała przy czerwonéj twarzy, była bowiem kompletnie biała. Ciocia strzygła brodę; zarost przystrajał ją gwałtownie, ona gwałtowniéj pozbywała go jeszcze, pudrując późniéj bez skąpstwa.

Przeszłość cioci, mocno nieczytelnemi zapisana głoskami. Młodą, grzeszyła jak mogła; starą, grzeszy jak

może, ratując się młodszémi, którém *ciotkuje* i dla których łaskawie, tańcujące wyprawia zabawy. Na życie jéj wreszcie czarną zapuszczamy zasłonę.

Inne damy bawiły się podobnież traktowane bardzo po przyjacielsku. Przy jednym stoliku tylko, spokojną znać było rozmowę. Siedziało tam troje osób; dwie młode rosłe kobiety, o ładnych twarzach, wyzywających spojrzeniach, i wątły szczupły młodzieniec, lat dwadzieścia ledwie mieć mogący. Ładna bez zarostu twarz chłopca, wyrażała zmęczenie i przesyt. Siedział milczący i smutny.

— Cóż ci to Ignalu? — pytała jedna z tych dam, brunetka, o czarnych wielkich oczach — wyglądasz, jak środa na piątek — a przecie jesteśmy na balu!..

— Joatka ma słuszność — dodała druga, jaśniejsza nieco szatynka. — Pan Ignacy nie w swoim humorze.

— Bom goły — krótko odpowiedział Ignaś.

— Ba! wiem — zaczęła Joatka — tobie wszystko mało; wiecznie tylko otwierać worek.

— H... hm... ty go też tak często otwierasz, że aż nieprawda. Na mój honor! panno Klodziu — rzekł zwracając się do drugiéj — ta kobieta to Harpagon w spódnicy. Ma pieniądze... a o szklance wody z arakiem siedzieć mi pozwala.

— Każ sobie dać ponczu ty pijaku!

— Grzecznie mię traktuje — nie prawdaż panno Klodziu — ale cóż, kiedy ja kocham tę szelmę — dodał głaszcząc ją pod brodę.

— Jaki on czuły — powiadam ci, moja droga, że zawsze jest takim, kiedy goły, jak tylko wyrwie trochę grosza, oh! o! ze świecą nie znajdziesz go przy mnie.

Ignaś uśmiechnął się tylko.

— Jacy wy szczęśliwi — zaczęła Klodzia, — jesteście przynajmniéj razem, gdy tymczasem ja... biedny mój Janek, widocznie nie mógł postarać się pieniędzy, kiedy go jeszcze tu niéma.

— Widocznie, wtrącił Ignal — ale on przyleci; z pod ziemi dobędzie a przyleci; zmysełków nie brak mu przecie, da on sobie radę. A byłoby co prawda pofatygować się po co, młodzik ten to fryc i dużo ma rubli.

— Panny pożądliwie spojrzały w stronę Kocia.

Młodzik, młodzikiem nazywający Kocia, był jednym z tych dzieci opuszczonych, które bez pieniędzy, bez opieki, tułają się na tym światku. Nic nie robią albo źle robią, żyją jednakże i niekiedy dobrze nawet żyją. Nasz Ignal, nie w tęgich był interesach, na teraz podtrzymywała go Joatka, dzieląc z nim własne fundusze. Miał on jednak rozumu trochę, źle go użytkował tylko; wcielił się w grono szulerów, zyskując kiedy niekiedy *cząstki*.

— Prawda, prawda — szeptała Klodzia — mój Janek naciągnął by go pewnie, zręczny on bardzo w takich razach.

— Idzie!... zawołał zrywając się Ignal.

— Pan Jan! Jak Bozię kocham—witała ciocia.

— Mój Janek! krzyknęła Klodzia.

W sali ukazał się Janek. Był to rosły, eleganckiéj powierzchowności młody człowiek; lat dwudziestu ośmiu nie więcéj; małe czarne wąsy zdobiły twarz męzką — a czarne kędzierzawe włosy, wiły się gęsto na głowie. Ubrany był balowo wykwintnie.

— Jak się macie — rzekł, witając Ignala i panny. Mówiłem, że przyjdę i dotrzymałem słowa.

W akcencie jego przebijała żydowszczyzna. Izraela zrodziło go gniazdo, hulaszcze, rozpustne życie odciągnęło go od wiary ojców. Wydziedziczyli go — ale zręczny, przemyślny, przyswoił sobie wiele sztuk karcianych i w kole szulerów do zręcznych, ale nieszczęśliwych się liczy. Nieszczęśliwym dla braku stosownych partnerów; gra nieszczęśliwą dla niego być nie może — gra zawsze na pewno. Mimo to wszystko człowiek ten zawsze bez pieniędzy, mówią ze zkądinąd dobre ma serce i cokolwiek zdobędzie w jakikolwiek sposób — a używa dwóch tylko, gry i pożyczek — z innymi się dzieli lub traci bez zastanowienia. Mówią o nim, że i w grze saméj postępuje szlachetniéj od wielu innych — dziwnie pojmowana szlachetność, że ograwszy, cząstkę przegranemu powraca pieniędzy, że każdy kawał, jaki wyrządzi, w danéj znów chwili wynagrodzić się stara, charakteru tego nikt niezna dokładnie; dobrym jednakże nazywają go chłopcem. Jest ruchliwy, energiczny, a przy ujmującéj powierzchowności podobać się umie. Zaciąga długi, długów nie oddaje jednak nigdy. Są ludzie dla których oddanie — jakiéjkolwiek należności, jest za ciężką, niemożliwą rzeczą. Takich jednakże Warszawscy lichwiarze nie liczą w klijenteli swojéj — a szkoda – podobnych Janów nie brak, ulżyliby ich kieszeniom trochę.

Pan Jan zasiadł przy stoliku — prosząc o cztery ponczu.

— Zlituj się Janku! — zapytał Ignal, zkądżeś u djabła wydobył pieniędzy?

— Ale... — ciekawie pytała Klodzia.

— Ba! zkąd! trzeba mieć głowę na karku, a wszystko się znajdzie... Dowcip!.. dowcip — powtórzył, bijąc się w czoło.

— Mówże, nalegał Ignaś.

— Mówże — domagała się Klodzia.

— Cóż wam u djabła tak pilno. Ja długo myślałem o kawale, a oni chcą rzecz mieć natychmiast. Czekajcie, napiję się wpierw wódki.

Po uskutecznieniu tego przedwstępu, pan Jan zaczął interesująco:

— Byłem goły.

— Jak zwykle — dodała Klodzia.

— Jak często — poprawił Ignal.

— Przechodząc ulicą, koło rzeźnika, u którego zwyczajnie jadam śniadania, zaleciał mię zapach kiełbasy— a lubię kiełbasę.

— I ja bardzo lubię — wtrąciła Klodzia.

— Niewątpię — dodała Joatka — bo któżby nie lubił.

— Wstępuję tedy, witam się z właścicielem i... wpada mi myśl... Panie łaskawy, mówię — mam interes dla pana.

— Słucham — odpowiada mi, kłaniając się uprzejmy gospodarz.

Oto, mam do sprzedania czteroletnią świnkę; baba moja lubiła trudnić się takim chowem — dziś wyjechała, a ja w żaden sposób zajmować się tym nie mogę.

— Ba! naturalnie — zaśmiał sią rzeźnik.

— Trzeba to karmić, doglądać, do targu czekać długo, i to ambarasuje wreszcie, wolałbym załatwić to z panem.

— Najchętniéj — odpowiada rzeźnik — ale bo uważa pan, muszę zobaczyć — czteroletnia, może być téj mniéj więcéj wielkości, idzie oto, jak karmiona....

— Oh! co do tego — zawołałem, obawy niema. Sam lubię jeść dobrze, więc i karmić lubię.

— Wierzę — ale... bądź cobądź kota w worku kupować nie mogę.

— Naturalnie. Oto, posłałby pan ze mną którego z parobków — a mając później w domu, niewątpię, że oceni ją pan stosownie do wartości.

— Bardzo dobrze!.. Wojtek! — zawołał na chłopca.

— Ale... bo to widzi pan, jest... raczéj może będzie maleńka kwestja... gospodarzowi winienem ośm rubli za komorne, będzie mi robił trudności może...

— Bagatela! mogę panu zaliczyć, to głupstwo!

— Naturalnie, rzekłem zgarniając pieniądze.

— Wojtek! sam tu gawronie; pójdziesz z panem i przypędzisz świnię.

Idziemy — wchodzimy do domu, na pierwsze piętro, na drugie.... Wojtek wytrzeszczył baranie oczy — co u djabła — mruczy pod nosem, świnie trzymają w chlewie a nie na górze, wchodzimy na trzecie... Wojtek się żegna... wchodzimy do pokoju....

— I cóż! — zawołali chórem.

— I cóż — sięgam pod łóżko, wydobywam... i... i... i oddaję moją świnkę morską.

— Hi! hi! hi, ha ha! ha! zaśmiano się w okół.

— Świnka, wyraźnie świnka i ma cztery lata.

— Doskonałe! — zawołał śmiejąc się Ignal.

— A Wojtek?

— Wojtek klął i mruczał.... zaśmiał się wreszcie i odniósł panu świnkę. Poczciwy rzeźnik, jak mi już mówiono, zobaczywszy zadatkowaną świnię, klął jak wszyscy djabli!...wreszcie się naśmiał z dowcipu i basta!..

— A niech cię ucałuję — zawołał Ignaś, kapitalny kawał.

— Tylko mój Janek coś podobnego zrobić umie — z dumą powiedziała Klodzia.—

— A bo to prawda — mruknął Ignaś — i jam nie od święta.

. . . .

Taki to człowiek poznał i serdecznie niby pokochał Kocia. Do zapoznania się tysiące było sposobności, taniec, pijatyka, pomoc wreszcie Klodzi i Ignala, aż też Kocio przylgnął do Janka z całą łatwowiernością i pośpiechem.

Odtąd widywano ich zawsze z sobą. Odtąd kawiarnia zwana „jamą“ miała z Kocia codziennego gościa — a jama ta, to arcy-interesująca knajpa. Dziś na uroku straciła wiele; w epoce zaś, o któréj mówimy, była siedliskiem wszystkich tych panów, o których wspominaliśmy wyżéj. Tu zbierali się *dzieci*. Tu wyradzały się pomysły, dowcipy i kawały. Zbierali się téż i najzacniejsi ludzie, jama zainteresować mogła każdego.

Gromadka dzieci, wyprawiała tu igrzyska, igrzyska billardowe, pufowe, z akompaniamentem dowcipków.

Od świtu zaraz, jama wrzała życiem, śpiącém z początku — świtowi bowiem goście, to marudery, po nocnych hulankach i włóczędze. Jama miała kanapki, śpiący, senni chcieliśmy wyrzec, drzémali sobie spokojnie; drzémali dotąd, dopókąd *dzieci* nie było. Z przybywaniem tych ostatnich, kończyła się śpiąca ich dola; figle, zapalone papierosy w nos wetknięte, silne gwiznięcie w ucho, przerywało sen spokojnym obywatelom miasta — i życie wrzało już na billardzie.

Gra billardowa, hazardowna, rozpoczynała swoje panowanie.

Ofiar téj namiętności nie brakło tu wcale — a łowcy w pogotowiu zawsze. Jeźli fryc jaki, pojawił się w jamie, specjalny billardzista brał go zaraz w szpony. Z razu zachęcił umyślną przegraną; późniéj ogrywał szkaradnie. Jeźli zaś zapasy były ciężkie, siły równe, *dzieci* natenczas pomagają z boku. Dowcipkują, szarżują słowami, gestami, aż nowicjusz dla którego obcą jest wrzawa rad nie rad przegrać musi.

W tym to gronie, z pomocą Janka, znalazł się Kocio. Młodemu chłopcu z razu wydało się to nie smacznem, późniéj przywykł nieco, a w końcu podobało mu się bardzo. Kocio do nowego tego koła przylgnął duszą. Odtąd knajpa stała się życiem Kocia. Tu wydał wszystko i tu nauczył się wszystkiego. W rok lub w dwa lata, przewyższał zdolnościami starych, przyswoił sobie ich mowę, ruchy, dowcipy, kawały i sztuki, słowem stał się duszą jamy czerpiąc już z niéj wszystkie dochody swoje. Odtąd karty, billard, łatwe a korzystne miłostki stały się dlań źrodłem, z którego zręczniéj od innych korzystać umiał.

Przeważnie jednak, pomagała mu powierzchowność bardzo przyjemna, taniec artystyczny niemal i umiejętna blaga. Z temi przymiotami Kocio, zapuścił się w świat niewieści... i zwyciężał na każdym prawie kroku. To téż ubierał się najmodniéj, mieszkał wykwintnie, w obec czego nikło całe grono *dzieci.* Zachęcany, powodzeniem, zarozumiały i próżny zrozumiał, że jeźli kobiety doświadczeń i zepsucia ulegają jego kaprysom i sile, tem łatwiéj podbić zdoła uczciwą dziewczynę, z którą może i ożeniłby się nawet, gdyby warunki... to jest posag gruby złowić. Myśl ta od pewnego czasu zajęła Kocia wyłącznie. Przewidywał wiele przeszkód, ale czy młodość obawia się

przeszkód? Kocio dumał, szerokiemi krokami przechadzał się po pokoju, stanął przed lustrem, jak gdyby się pytał, czy nie zawiodą go młodość i powabne wąsy.

— Ha! zawołał — bijąc się w czoło! Gold dopomoże mi w tym względzie. To mówiąc porwał laskę i kapelusz i za chwilę był już na ulicy. Jama dnia tego daremnie wyczekiwała na Kocia.

. . . .

Ulica Franciszkańska, to siedlisko handlu, przemysłu, bogactw i nędzy. Każdy tu kącik, każdy schodek nawet wyzyskuje tu spekulacja, oszustwo najwięcéj ma tu zastosowania. Brudy, niechlujstwo, wyziewy szkaradne, łączą się z zapachami czosnku i cebuli Turkot wozów i frachtów, wzmaga się z nawoływaniami handlarzy, chwalącymi liche swe towary. Dzielnica ta ma odrębną od innych ulic cechę. Piekielna gorączka łupu grasuje tu wyraźnie. Rubel jest alfą i omegą wszystkich tych postaci, dla których po za tym rublem, zda się już nic niema. Rubel jest tu światem, życiem, miłością i rodziną.

Na téj to ulicy, w jednym z pokaźniejszych domów, mieszczących w sobie zajazd omnibusów prowincjonalnych, mieszkał pan Gold. Kiedy o omnibusach wspomnieliśmy, wypada rzucić im słów kilka, z opowiadaniem naszém, nie mają one nic wspólnego wprawdzie, charakteryzują jednakże komunikacją mieszkańców prowincji i naszego miasta.

Ktoś naprzykład skromnemi rządząc funduszami, dla oszczędności lub braku, zmuszony wyrzec się pocztowych wygód — chociaż i pocztowe wygody mocno niewygodnemi bywają — i w braku więc, żydowskim poświęca się jechać wehikułem. Paradna jazda, od któréj niech Opa-

trzność strzeże. Z tém wszystkiem musi, a mus nie zna opozycji. W wypadku takim pasażer lub pasażerka udaje się do przystani bud tych, zamawiając dla siebie miejsce. Zgoda następuje natychmiast stosownie do celu podróży. W nocy, gdyż o saméj północy, ruszają zwykle omnibusy; jadący, lub jadąca, przybywa na miejsce, ale tu spotyka ją arcy przyjemny zawód.

— Co to takigi — woła żydek ujrzawszy pudełeczko w ręku. — Pani zapłaci dwa ruble — (jeżeli zgodziła rubla) pani ma tyle rzeczów, ja nie pojadę inaczéj.

Oburzona pasażerka, udaje się do innego furmana— ale ten żąda więcéj jeszcze, rada nie rada, albo na bruku pozostać musi albo poddać się wyzyskującym wymaganiom.

Wyzyskiwanie to tłumaczy się jasno, że omnibusiarze ci, są albo spółką działającą akcionarnie, lub też mają jednego zwierzchnika. Jazda sama przedstawia też nie mało przyjemności. Frachty te, bo frachty to właściwie na pierwszym planie mają tu towary; pasażerowie, są tylko dodatkiem, najobfitsze przynoszącym zyski. Wszystko to jednak było by jeszcze do zniesienia, gdyby nie ta okoliczność jeszcze, że panowie ci mają uprzywilejowane stacje, utrzymywane naturalnie przez pejsatych ich braci. Tu jadący winien przed zapotrzebowaniem posiłku, zapytać wpierwéj o cenę i targować się, jak o wołu — inaczéj zapłacić musi tyle.... ile by nawet nie policzył sobie przystojny dzierżawca Tivoli. Lecz, jak na teraz nienależy to do rzeczy, wracamy więc do pana Golda, właściciela nieruchomości przy ulicy Franciszkańskiéj.

Pana Golda, znajdujemy zakłopotanego nie mało. Siedzi on w pokoju swoim na miękkim bujającym się fotelu, z oczami tryskającemi przekleństwem.

Jest to podżyły już obywatel, o krótkim stanie i krótszych jeszcze nogach Miljonową twarz tę zdobi okrągły podbrodowy zarost; mający świadczyć o pochodzeniu niemieckim. Pan Gold nie wstydzi się swego pochodzenia, jest nawet nabożnym do przesądu — ale w obcowaniu z ludźmi innych przekonań, pragnie uchodzić za niemca. Ze względu jednak, że zacny ten człowiek nie lubi, żeby opisywano jego wartości, powiemy tylko, że ma lat pięćdziesiąt, głowę na krótkiéj osadzoną szyi; małe przebiegłe oczy i murowaną kamienicę. Żona i dzieci pana Golda nie obchodzą nas tu wcale, w toku opowiadania nie spotkamy się z niemi, szkoda więc atramentu i papieru.

Pan Gold jest wszystkiem. Bankierem, faktorem, swatem, a to w miarę potrzeby i interesu. Każdy interes bowiem jest dla niego dobrym, jeżeli tylko korzyść dobrą niesie. Pan Gold ma głowę, potrafi okpić własnego wspólnika i ta umiejętność właśnie sprawiła, że okpili go w téj chwili, okpiwani dotąd wspólnicy jego. Pan Gold handlował i majątkami ziemskiemi; na drodze téj pokrzywdził wszystkich, którzy pokrzywdzić się dali, szczególniéj przy zamianie dóbr na domy miejskie i przeciwnie. Sprytny jeden obywatel ziemski postanowił się zemścić, rzecz więc... ale nieuprzedzajmy wypadków.

Było to na dwa tygodnie może, przed opisaną zadumą pana Golda. Wówczas siedział on w najlepszym humorze, tysiączne obliczając zyski. Do drzwi zapukał ktoś z lekka, a po chwili stanął w pokoju rudobrody Icyk.

— To ty—rzekł zwracając się Gold, i co tam nowiego.

— Oj! oj! oj! rzekł drapiąc się Icyk. Złoty interes panie Gold, już Icyk nie będzie taki biedny, jeźli się tylko to uda.

— Ny! co to takiego jest—rzekł wstając Gold.

— Ja zaraz powiem, ale sza. Czy tu nikt nie podsłuchuje?

— Nein, niema nikogo — co to jest.

— Śliczny interes — ale panie Gold, ja trzecią część zarobić muszę. Inaczéj nie.

— Ny, ja zobaczę — co to jest?

— Jest tu — zaczął żydek tajemniczo, jakiś wielki pan książe. On chcę kupować dobra tu pod Warszawą; płaci gotówką, Oj! oj! oj! jaki on bogaty. Przez tego posłańca mojego brata z hotelu, ja się dostałem jako faktor, to widziałem co on ma, ze dwa miljony rubli, oj! oj! oj!

Goldowi zaiskrzyły się oczy.

— Słuchaj Icyk — zawołał porywając faktora za rękę, ja mam, mam interes, ja zrobię interes. Tu, tu, tu, pod Warszawą — i czy ze zbytniego wzruszenia czy z radości, sięgnął po flaszkę z szabasówką, traktując siebie i Icyka.

Po chwili, zaciągnął faktora w głąb pokoju, gdzie hebrajskiemi literami wypisał mu zobowiązanie wypłaty piętnastu tysięcy rubli, jeźli interes ten przyjdzie do skutku.

Chwilę jeszcze objaśniał go Icyk, poczém rozeszli się, zarumienieni radością.

— I cóż — porywczo zapytał wychodzącego Icyka, wykwintnéj powierzchowności nie młody już jegomość.

— Wszystko dobrze — odpowiedział Icyk, wskazując na otrzymany dokument.

— Doskonale! zawołał pan ów — zarobiłeś śniadanie. Dorożka! zawołał — i w téj chwili podjechał dobrze podpity dorożkarz.

— Idziemy tedy na śniadanie Icyku — Do Bouqeta — krzyknął zwracając się do wóznicy.

— Na Nalewki poprawił Icyk na Nalewki.

— Więc gdzie ta mam jechać — zapytał dorożkarz.

— Jedź na Nalewki — zakonkludował pan. Ale — zapytał rozsiadając się wygodnie, po jakiego djabła mamy tam jechać, przecie ja chciałem na śniadanie.

— To też wielmożny panie, my sobie jedziem na śniadanie, fein śniadanie. Po ca nam Boeqet, kiedy u nasich ryby aj! aj! aj!

— A niech cię tam z twojemi rybami — zaśmiał się jegomość.

— Ja panu co powiem. Ja jestem żyd. Wolałbym u Bocqeta kawałek mięsa, jak całą żydowską restaurację, ale po co mi to, niech żydki wiedzą, co ja porządny człowiek.

— Tak, naturalnie — wy wszyscy porządni jesteście, zadecydował poważny jegomość.

. . . .

Była godzina dwunasta w południe. Do hotelu Europejskiego zaszedł znajomy nam Gold i zajrzawszy do notyski, pobiegł na pierwsze piętro. Tu z lekka zapukał do drzwi, poczem rosły wyświeżony lokaj otworzył natychmiast.

— Panie łaskawy — zaczął Gold — czy pan Książe w domu?

— Czy w domu — a tobie co do tego.

— Ny, niech się pan nie gniewa — ja, — wsunął papierek w rękę służącego, ja mam interes do jego Książęcej mości.

— A jeżeli tak, to co innego. Pójdź pan zamelduję Księciu.

Gold w drżącém oczekiwaniu, czekał przez chwilę. Służący wrócił.

— Książe pan zapytuje — rzekł — kto pan jesteś i czego żądasz.

— Ja sobie jestem porządny człowiek, słowo daję — i mam interes z dobrami.

Lokaj oddalił się ponownie.

Pan Gold oczekiwał jeszcze chwilę.

— Proszę — rzekł służący otwierając drzwi.

Gold pochylił się nizko wchodząc do salonu. W salonie siedział Książę. Był to siwy poważny jegomość, w angielskie baki przystrojony, ze złotemi binoklami na nosie. Białą delikatną jego rękę, przystrajał pierścien z brylantem, wielkości laskowego orzecha — widok czego zaćmił Goldowi oczy. Chwilę drżał nie śmiąc przemówić i słowa.

— Jaki interes masz pan do mnie — przemówił poważnie Książe.

— Ja... ja... jaśnie oświecony Panie! mam majątek i... i... — bełkotał żyd.

— Proszę, chciéj pan objaśnić, łaskawie przemówił Książe. — Proszę, siadaj pan.

Uprzejmy ton Księcia oprzytomnił zalęknionego Golda, począł więc zwolna opowiadać:

— Mam tu — mówił — śliczny majątek pod samém nosem Warszawy. Kosztuje dwa miljony złotych, to na talary wyniesie... zaraz...

— Trzykroć trzydzieści trzy tysiące, trzysta trzydzieści trzy i jedna trzecia.

— Jaśnie oświecony pan ma słuszność, to tyle wyniesie.

— Czy mappę, opis, dowody ubezpieczeń masz pan przy sobie.

— Mam, w téj chwili nie, ale jutro złożę Jaśnie oświeconemu panu.

— Dobrze, — krótko odpowiedział Książę, — do widzenia.

Żydek pochylił się aż do ziemi prawie i wyszedł oddychając lekko.

— Panie, panie dobrodzieju, — rzekł wychodząc do służącego, — bądź pan tak dobry i powiedz o któréj godzinie wstaje pan Książę.

— O dziesiątéj, ale nie przyjmuje wcześniéj jak o dwunastéj.

— Dziękuję, dziękuję panu, ja tu jutro przyjdę, przyniosę panu cygar, co je sam Książę może palić.

I wybiegł. W głowie Golda był zamęt nie do opisania. Interes, jaki mu wpadł w rękę, bajeczne przedstawiał korzyści.

— Doróżka! — krzyknął głosem, którego nie powstydziłby się najdumniejszy dandy, — zapłacę dwa złote, prędko na Grzybów.

Cel jazdy na Grzybów i dalszy bieg wypadków, opowiemy czytelnikom krótko. Gold pojechał do Icyka, z Icykiem następnie udali się do Rejenta i zabrawszy jeszcze jednego świadka, powozem puścili się za Pragę.

Mieszkał tam bogaty pan, dziedzic na paruset włókach odłużonych okrutnie, ale téż i spore przynoszących zyski. Gold o nabycie dóbr tych traktował już zdawna, ale dla wygórowanych cen jednak kupno nie przychodziło do skutku. Dziś, w obec nadziei miljonowego zysku, nie wahał się ani na chwilę i w towarzystwie świadków spisał Rejent akt, mocą którego Gold stał się nabywcą dóbr

„Lapy“ z przyległościami, dając w zamian „Krzywdy,“ majątek w Lubelskiém i murowany dom w Warszawie, a to w stosunku sto dwudziestu tysięcy rubli. Suty bo objad wyprawił były już właściciel i bezzwłocznie objął w posiadanie prawne tak „Krzywdy,“ jako téż dom w Warszawie. Domek był to niewielki, na ulicy Widok podobno, spore jednak przynoszący korzyści.

Pan Gold uszczęśliwiony z nabytku, nie mógł spać téj nocy. Wyczekiwanie godziny dwunastéj męczyło go, nareszcie nadeszła oczekiwana chwila. Stanął w hotelu. Gorączka z jaką biegł po schodach, malowała się w całéj téj postaci, zapukał. Nieotwierano mu. Zapukał mocniéj, milczenie.

— Co pan tam chcesz, — zapytał wreszcie przechodzący numerowy.

— Ja do Jaśnie wielmożnego pana, czy nie ma w domu.

— Nie ma i nie będzie, — wczoraj w nocy wyjechał.

— Wijechał! — krzyknął żyd i zemdlał.

Kilka dni Gold przeleżał w łóżku, późniéj starał się o zwalenie rejentalnego aktu, wszystko napróżno. Przy Łapach pozostać trzeba było, a obdłużone były blisko do miljona złotych. Smutna ta finansowa operacja odebrała mu humor i apetyt, zrodziła za to chęć zemsty, zemsty na zabój. I w takiéj to chwili, w takiém usposobieniu ducha zastał go wchodzący Kocio. Żyd nie powstał na powitanie gościa, milcząco tylko kiwnął głową.

— Co panu jest? — zapytywał Kocio.

— Co mi jest, to pan nie wiesz? Nie wiesz, że oszukali, okradli mię, że dławi mię wściekłość i rozpacz.

— Słyszałem że na kupnie Łap...—Gold wzdrygnął się na tę nazwę, — straciłeś pan.

— Straciłem, bo mię oszukali. Własny mój faktor

sprzedał mnie gojowi, a pioruny nie zabiły go, ale... ale, krzyczał drąc sobie włosy, ja zemszczę się. Ja z ich żył wyssę krew moją, ja muszę się zemścić. A! — zawołał uderzając się w czoło, ty posłużyć mi możesz.

— Ja,— z zadziwieniem pytał Kocio.

— Pan, panie Kociu, a ja zrobię ci wszystko.

— Właśnie téż — przemówił Kocio, — mam do pana interes. Nudzi mię, chciałbym się dobrze ożenić.

— Kto tam teraz o takich miśli głupstwach. Ja mam dla pana interes, co nas na całe życie uszczęśliwi. Panie Kociu! ty będziesz sobie wielkim panem, a ja się sobie zemszczę. Późniéj, jak ty już będziesz panem dziedzicem, to ja panu wtedy naraję i żonę.

Kocio z nieporównaną ciekawością przysłuchiwał się Goldowi, sądząc że zwarjował.

Gold jednak mówił dalej spokojnie.

— My sobie, panie Kociu, znamy się dobrze; dla nas nie ma ceregele... Zna Gold pana Kocia, zna Golda pan Kocio. Pan handlowałeś ze mną, kiedy pan był młodziuśki, ja robił na panu dobre interesa. Pan dziś już mężczyzna i ja z panem handluję jeszcze, i ja z panem handlować będę zawsze. Boś pan mądry, masz pan talent... (tu pokazał coś, co tassowanie kart oznaczać miało). Kocio się skrzywił. Zauważył to Gold i dodał pośpiesznie. No co w bawełnę owijać; nam trzeba pomówie otwarcie, bo ja, ja Wolf Gold, daję panu majątek i stanowisko.

— Ale zlituj się pan! — zawołał Kocio, — mówże jaśniéj, bo mi się czémś niezwykłém to wszystko wydaję.

— Zaraz, zaraz. Pan — zaczął na nowo Gold przybliżając się z krzesłem, — sam sobie nic w życiu nie zrobisz. Co panu z tego co pan tam wygra, kilka, kilkadzie-

siąt rubli, ja dam panu co lepszego. W sąsiedztwie moich obrabowanych „Krzywd“ jest o wiorst kilka maleńki mój folwark. Siedzi tam mój kuzyn Szlama Flus, ten folwark ja panu niby odsprziedam.

Kocio wytrzeszczył jak mógł tylko ładne swoje oczy.

— To znaczy, — ciągnął daléj Gold, — że osadzę tam pana na czas jakiś; wszyscy niech wiedzą że pan właściciel; tym sposobem pozna pan obiwatelstwo, i tego łotra, co teraz siedzi na moich Krzywdach. On lubi grać w karty, pan mądry, to moje „Krzywdy“ odebrać pan może, a ja panu za to oddam na własność już ten folwarczek „Laski.“

Leon zarumienił się radością. Bądź co bądź roił—wyborny dla mnie interes, nic nie stracę, a zarobić zarobię zawsze. Może nawet... uda się... tu z boku spojrzał na żyda wpatrującego się weń pilnie..

— Ależ! — zawołał Kocio, — panie Gold, zkądże tyle łaski dla mnie.

— Bo lubię cię, żeś mądry i obaj zrobimy dobry interes. Przyjdź tu jutro, dokończymy interesu.

— Dzięki! dzięki ci panie Gold! Całe życie wdzięczny ci będę.

— Głupi, — mruknął żyd po odejściu Kocia, — on miśli co ja dla niego dobrze chcę zrobić, nie! Goj tylko narzędziem może być w ręku żyda. On wigra moje „Krzywdy,“ to wielki szuler; ny trzeba być ostrożnym, Widam kilkaset rubli, warto ryzykować. Golda oszukali ale Gold jeszcze zarobi na tém.

. . . .

Było to w Niedzielę. Jama pełna *dzieci*, wrzała życiem niezwykłém. Krzyki, wiwaty krążyły na okół; pi-

jatyka rozgościła się jak nigdy. *Dzieci* obchodzili uroczystość pożegnalną Kocia.

Był tu podtatusiały już Janek, był i Ignaś ożeniony zdawna ze skąpą Joatką, był i Hipcio, jeneralny szuler na całe cesarstwo. Był téż mecenas, najdowcipniejsza sztuka z *dzieci*. Niski, otyły, przystojny jednak jegomość, zwany mecenasem z przyczyny, że pracował kiedyś przy jakimś Sądzie, a dziś na własną rękę prowadził drobniejsze sprawy. Był on najrozumniejszym z *dzieci*. Samo ukazanie się mecenasa rozśmieszało obecnych, miał on na ustach tysiące anegdot własnych i dowcipnych niekiedy bardzo. Pożegnalny więc rymowany toast powierzono jemu.

— Gęgaj! wołali chórem *dzieci*.

— Czekajcie! zawołał Ignal. Mikołaj dowcipy wyciąga z żołądka, a tam dziś ulewa, więc trudno.

— Ha! ha! zaśmiano się w około.

— Kto ma w żołądku ma pewnie i w głowie.

Ignaś jest chudy, zaczynam panowie!

— Chudy to znaczy — zapytał ktoś dwuznacznie.

— Głupi, krótko zdecydował inny.

— Koléj ponczu! — przerwał Kocio!

Był on ubrany do podróży. Extra-poczta oczekiwała przed jamą, zanim przyszły dziedzic „Lasek" pożegna się z ukochanémi swémi *dziećmi*.

— A ja wam mówię, — zaczął mecenas, — że Kocio urządza nam kawał.

— Da się to widzieć, — odpowiedział Kocio.

— Bądź co bądź, — mówił Ignal, — pozory mówią za nim, wreszcie nie drwiłby z nas i z siebie.

— Naturalnie, — zawołano chórem.

Po téj koléjce, nastąpiła druga, po drugiéj— trzecia,

aż podchmieleni dobrze, zapakowali na brykę Kocia, całując go ze wszech stron. Kiedy pocztyljon zamierzał już ruszyć, Mikołaj nadąwszy się, silnie zawołał:

— Hurra!

— Hurra! — zakrzyczała gromada i bryczka ruszyła z miejsca.

. . . .

Dworek folwarczny w Laskach zamieszkiwany dotąd przez Szlamę Flusa, kuzyna Golda, był jak wszystkie siedziby żydowskie opuszczony i odrapany. Sam Szlama należał do zacofanych Judejczyków, a osadzony tu przez Golda, wyzyskiwał pracujących chłopaków. Gospodarstwo szło po żydowsku. Łąki od wieków zaniedbane, w maleńkiéj cząstce kosiło się z chłopami na współkę. Inwentarz lichy, źle karmiony, zapasów żadnych, byle grosz i grosz tylko. Ubóstwo było tu wielkie. Pracujący ludek żył tu kartoflami i chlebem; chlebem nie zawsze nawet. Wypłata robocizny odbywała się w Niedzielę, a żal się Boże jaka. Przez sześć dni roboczych parobczak lub dziéwka dostawali kwitki, kwitki te przyjmowała tylko miejscowa karczma, reszty téż wydając kwitkami. Cóż więc mógł znaleźć tam chłopek — chleb i wódkę, wódkę i chleb, oto na co pracował w pocie czoła.

To téż wiadomość o nowym dziedzicu, rozsiana umyślnie przez Szlamę, obiegała z ust do ust rozpromieniając radością.

Fama rozniosła ją po okolicznych téż dworach i cieszono się ogólnie, że Gold wyrzucony z „Krzywd“ sprzedał nareszcie i „Laski;“ że obmierzłe to żydowstwo raz przecie wyniesie się z téj okolicy, ażeby pewnie, niechlujstwem i szalbierstwem inne zanieczyścić strony. Przyjazdu więc nowego dziedzica wyczekiwano niecierpliwie.

Włościanie łudzili się poprawą bytu, sąsiedzi sąsiednim nabytkiem, a kiedy gruchnęła wieść, że przyszły mieszkaniec „Lasek“ jest bogaty, młody i przystojny, panie i panny, szczególniéj panny, modliły się prawie o najrychlejszy jego przyjazd.

— Zaproś że go zaraz, — mówiła pani Sędzina do męża, właściciela zaszarganéj Wólki, — najbliższym sąsiadem jesteś, Sędzią Pokoju wreszcie, tobie najpierwéj wypada.

Ależ duszeczko, — perswadował pan Sędzia,— on to właściwie powinien złożyć nam uszanowanie. Przybysz przecie i młodzik podobno.

— No tak, — przyznawała reflektując się pani Sędzina, — to téż niby wypadkiem jako, bo jeżeli go Liwscy zabiorą dla swojéj gagatki, to nasza Klarcia....

— Rozumiem.

Klarcia tymczasem zarumieniła się jak burak. Była to sędzianka jedynaczka. Mała, pulchna, niebrzydka dziewczyna, lat dwudziestu może, o jasnéj główce i piwnych oczach. Słyszała ona dobrze rozmowę rodziców, nie jedną Nowennę nawet odprawiła na intencję dostania męża, przyzwoitość jednak nakazywała się zarumienić.... Więc zarumieniła się Klarcia.

W domu państwa Liwskich, właścicieli właśnie „Krzywd“ po Goldzie, w niewieścich sercach płonęły różne zapały i tu jak w Wólce jedna była córka, śliczna jasnowłosa Helena, o cudnych niebieskich oczach. Oczy te myślące i załzawione prześlicznéj twarzy nadawały wiele pociągającego uroku. Śliczna ta postać na prześlicznych osadzona nóżkach, była celem zawiści pani Sędziny, któréj Klarcia miłe gospodarne dziecko, niedorównywało Helence o wiele. Pani Liwska sama była jesz-

cze nie starą i przystojną kobietą,— co do zawiści dobrze podstarzałéj Sędzinie dawało téż powód. Pozornie jednak sąsiedzi ci żyli z sobą bardzo przyjaźnie, odwiedzając się często.

O panu Liwskim możnaby powiedzieć wiele; był to człowiek potężnego charakteru i energji Lat pięćdziesiąt mógł liczyć w téj chwili; ściągłą twarz jego zdobiły sumiaste wąsy, pod wysokiém czołem jaśniało rozumem dwoje czarnych oczu. Zresztą był rosły, silnéj budowy i porywającego obejścia. On urobił szczęśliwą dla siebie zamianę „Lap" i z długów stał się właścicielem ziemskim i miejskim oczyszczonym zupełnie. Mówią, że Gold wyszachrował od Liwskiego „Krzywdy" i że tą samą drogą wróciły do dawnego posiadacza. Bądź co bądź pan Liwski był lubianym ogólnie dla rozumu, uprzejmości i uczciwego wychodzenia z sąsiadami. Że okpiwał ile się dało żydów, o tém mówią także, dodając jednak że to pochodzi z wielu strat, jakie przez nich poniósł w młodości.

Pan Sędzia szczególniéj lubował się jego towarzystwem, raz dla tego że towarzystwo Liwskiego było istotnie przyjemném, a daléj, że w braku trzeciego lub czwórki, mógł z nim zasiąść choćby do rumel-pikiety. Sędzia był zapalonym preferansistą, Liwski przekładał wista lub pikietę, pozytywnie jednak przenosząc lancknechta i sztosa. We dwóch jednak radzili sobie jak mogli, dopóki przyjazne okoliczności nie zesłały im Kocia.

Kocio po przyjeździe do nowéj swojéj rezydencji, zaczął od restaurowania dworu. Szlama wedle umowy Golda z daleka tylko miał śledzić jego postępowanie i naturalnie donosić o niem Goldowi. Kocio zrozumiał dobrze swoje położenie i najprzód przemyśliwał o tem, jakby co prędzéj dobrze nabić worek, a późniéj drapnąć, jeźli nic

lepszego nie pozostanie mu czynić. Zaczął więc restaurować dla siebie mieszkanie, nie bardzo oszczędnie co prawda, przeciw czemu Gold nie miał nic zgoła, kontent nawet, że pełen gustu Kocio podniesie tém samém wartość całéj włości. Następnie, jednocześnie raczéj, zapoznał się z sąsiadami. U państwa Liwskich zatrzymał się najdłużéj. Śliczne oczy Helenki ujarzmiły niewinnym blaskiem, zepsute to serce. Kocio w obec szczerego szczebiotu dziewczęcia uczuł w piersiach serce. Życie dotychczasowe, życie rozpusty i brudów znikło z jego myśli, pod wpływem anielskiéj téj dziewczyny. Zapatrzył się w jéj oczy i zdumiał. Pan Liwski zrozumiał to od razu. Doświadczony ten człowiek badając przyczyny tego nagłego zajęcia się jego córką, wywnioskował dokładnie o przeszłości młodego człowieka. W milczeniu badał z jego twarzy, z wrażeń, jakie czyniło na nim piękne, rodzinne życie, moralne, jego wartość i kiedy niekiedy uśmiechał się z zadowoleniem.

Kocio podobał się ogólnie. Naturalny, niby otwarty, wyglądał na poczciwego i rozumnego chłopca. Tak osądziły panie, dodając że bardzo przystojny i że jest *dobrze*. Pan Liwski tylko cokolwiek w innem widział rzeczy świetle. Dziwiło go najprzód o ile poznał z rozmowy, na którą naprowadzał często, że młody gospodarz, o gospodarstwie żadnego niema pojęcia. Dziwiła go także i sprzedaż „Lasek“ sama, tak nagle, tak dziwnym sposobem, którego także dokładnie nie określił Kocio, słowem dziwiło go wszystko.

W samym zaś Kociu mimo salonowego obejścia, dopatrywał się małych narowów, od jakich Kocio nie był w stanie uchronić się jeszcze, słowem w głowie Liwskiego plątały się różne myśli, bez wyraźnego określenia.

Chwilami nawet zdawał się obawiać tego ładnego chłopca, którego polubił, przecie dopatrywał się czegoś... czegoś... niepojętego, czego w właściwe nie mógł oblec ramy. Kocio u Liwskich bywał bardzo często, przyciągały go oczy dziewczęcia, z czego z początku naśmiewał się niby, a czemu późniéj zaprzeczał daremnie. Pokochał. — Ta miłość rozwijająca się tak gwałtownie, któréj objawy poznał i oceniał pan Liwski, uspakajała tego ostatniego nieco — czy był jéj rad jednakże, tego sam sobie powiedzieć nie umiał.

Gold tymczasem, domagał się pośpiechu. Kocio perswadował mu rozumnie, że w pierwszym miesiącu przecie musi żyć porządnie i uczciwie grać nawet na los— ażeby zyskawszy dobre imię i ufność Liwskiego późniéj dopiero skorzystać z nich wedle możności. Nie te tymczasem powodowały nim względy. W Liwskim, poznał od razu człowieka sprytnego, którego podchodzić mógł wprawdzie — ale myśl Helenki odbierała mu dawną czelność i odwagę. — Mamże, mawiał sam do siebie, obdzierać ojca téj, którą tak kocham. Kocio już sam przed sobą nawet nietaił tego uczucia. Owiało go ono silnie i podniosło. — Ale... ale cóż mi przyjdzie z tego, wszakże moją nigdy być nie może. Odjadę, powrócę do dawnego życia, na łonie rozpusty znajdę pociechę. Ale nie zniżę się do planów Golda. Mój Boże! dziwił się Kocio— ja dla którego nie było nic świętego na świecie, ja rumienię się w obec szesnastoletniéj dziewczyny. Co by to powiedział Janek, Ignaś. Oni nie krępowaliby się wcale, ze mnie naśmieją się tylko. Wprawdzie Kocio mimo to wszystko nie zarzucił zupełnie karcianych zdolności. Na zebraniu u sędziego naprzykład zabrał mu paręset rubli, innym zabrał też potrosze — jeden Liwski tylko stanowił nie-

wzruszony wyjątek. Z nim grał uczciwie i niekiedy sam przegrywał. Postępowanie to tem więcéj jeszcze mieszało rozumowania Liwskiego. We wszystkiem dopatrywał się czegoś — i to coś właśnie dręczyło go nieustannie.

Miłość tymczasem dwojga tych kochanków wzmagała się z dniem każdym. Niewinne serce Helenki zbudziło się, i całą zapłonęło siłą. Kocio w jéj oczach był wszystkiem, łączył najpiękniejsze przymioty duszy, był tym wymarzonym ideałem, o którym śniła tak często. I nie raz, kiedy zapatrzeni w siebie, spojrzeniami rozmawiali tylko, oko dziewczynki perłową zajaśniało łezką. Czy to była łza rozmodlonéj duszy, czy miłość wycisnęła ją radośnie, czy też przeczucia niedoli, któż to odgadnąć potrafi?

— Panno Heleno — szepnął płomiennie Kocio — jesteśmy nieszczęśliwi bardzo.

— Nieszczęśliwi - przestraszyło się dziewczę — i lazurowe jéj oczy z żalem tonęły w oczach kochanka.—Dla czego jesteśmy nieszczęśliwi?—Może... może ty nie kochasz mię tak, jak ja ciebie kocham, może — oh! może kochasz inną — a może... oh! to byłoby okropne.

— Dziecię moje drogie! przysięgam ci, że jesteś dla mnie życiem, słońcem, ciepłem mojego serca i duszy, ale jam niegodny świętéj téj miłości.

Do salonu w téj chwili weszła pani Liwska.

— Niegodny — powtórzyła w duszy Helenka — ja tego zrozumieć nie mogę.

Pani Liwska, była przystojną wcale kobietą. Lat trzydzieści kilka zaledwie mająca. Po ośmnastoletniem pożyciu z mężem, téj jedynéj dochowała się córki, więcéj pociechy odmówiły nieba! Jéj wychowaniu też poświęciła się jedynie. I chociaż czasem w sercu téj kobiety

zadrgało jakieś uczucie tęsknoty — tłumiła je zaraz pieszczotami Helenki Nieszczęście wwiodło w jéj progi naszego Kocia. Tęsknota zadrgała tem silniéj w téj chwili, im dłużéj przygłaszała ją w sobie. Urodny ten chłopak zamącał uczciwy jéj spokój. Jak dziecię rumieniła się, ile razy przemawiał do niéj. Czuła niestety! że owładnął nią zupełnie.

W walce obowiązków żony i matki z samolubnem uczuciem, przemagały zawsze te pierwsze — a każde zwycięztwo takie, było kosztem bolesnego ściśnięcia serca. Uczciwa ta kobieta umiała tak zataić grzeszne to uczucie, że niedomyślił się domyślny zawsze pan Liwski, że niedomyślił się i Kocio, chociaż, życzliwości jéj tysiączne odbierał dowody Niedomyślał się nikt zgoła -- gdy tymczasem wulkaniczny ogień rozpierał piersi téj kobiecie.

Pani Liwska, weszła do salonu, bledsza niż kiedykolwiek. Może usłyszała rozmowę kochanków, a może .. tyle jest przyczyn do cierpień. Za nią natychmiast ukazał się pan Liwski, i ująwszy Kocia pod rękę zawołał serdecznie.

— Ho! ho! nagruchaliście się dosyć, teraz czas do pulki.

— Nie pomogło błagające spojrzenie Helenki, ani smutny wyraz twarzy Kocia, pan Liwski wyprowadził go do przyległego pokoju. W salonie zostały tylko obie panie.

— Helenko! przemówiła matka — ty cierpisz.

Dziewczę, rzuciło się w jéj objęcia.

— Ja niewiem mamo, co się ze mną dzieje. Jestem szczęśliwa i cierpię.

— Ale ja wiem biedne moje dziecię — i smutnie potrząsła głową.

— Jeżeli ja cierpię—to i ty mamo musisz mieć zmartwienie. Twarz taka blada i ręce drżą mamie....

— To ci się zdaje, moje dziecko. — Oto zajmij się kochanie przygotowaniem do wieczerzy — a ja pójdę do kuchni.

Rozeszły się — powtarzając to niezrozumiałe słowo „niegodny.“

. . . .

Pan Gold — od dni już kilku niecierpliwił się milczeniem Kocia. Ta długa bezczynność nudziła i kosztowała go wiele, przygotowywał więc list, grożąc mu na właściwy sobie sposób — kiedy drzwi otworzyły się z cicha i w progu ukazał się Szlama.

— Ach! zawołał zrywając się z krzesła — co tam słuchać?

Szlama poprawił włosy i brodę przybliżając się zwolna do stolika.

— Co robi ten goj, pyta niecierpliwie porywając Szlamę za rękę.

— Wu! on sobie nic nie robi, tylko się kocha.

— Co, co zawołał Gold.

— Tak, on sobie się kocha w pannie Liwskiéj. — Oj! wéj! ona taka śliczna.

— Gold obie ręce zanurzył we włosach.

— Śliczny interes — niema co gadać, ja posłałem go żeby grał, a wun się tak kocha.

Tu myśl jakaś zabłysła snać mu w głowie, bo szerokiemi chodząc krokami, potakiwał sobie głową.

— Oj! aj! — rzekł przystanąwszy na chwilę. On sobie mądrzejszy, jak my. Pod takim pozorem... ale, słuchaj no Szlama — a ona?

— Ny, ona... wszyscy już gadają co go także kocha..

— A Liwski — tu splunął mocno — co Liwski na to?

— Ja tegi nie wiem — odrzekł Szlama. Liwski i Liwska i wszyscy kochają aż strach. On tam ciągle siedzi.

Gold zamyślił się przez chwilę. Znowu wzdłuż i w szersz przechadzał się po pokoju, stanął przed Szlamą wreszcie i rzekł:

— Ty Szlamo idź do żony, żeby ci jeść dała, a jak zjesz, to rób swoje sprawunki i co prędzéj wracaj do domu. Ja napiszę list, to ty mu go oddasz.

Szlama oddalił się względnie do rozkazu. Gold zaś przechadzał się ciągle, drapiąc podbrodzie, jak gdyby szukał tam porady. — Nie, nie, — mówił w roztargnieniu, tak byłoby lepiéj — wygrałby odrazu i kwita. Od razu, Liwski, pfu — przecie nie honorowy on by i tak nie oddał przegranéj — a wstyd obiwatelski — co tam wstyd — szwarc jure, nie wstydził się oszukać Golda, oszukałby i jego — że to mi na miszl zaraz nie przyszło. Tak będzie lepiéj. Jak on się ożeni — to ona przecie jedynaczka to... to co ja zarobię na tem. On straci — a jak mu stracić nie dadzą co będzie? Nie, nie. On — zaczął z gniewem — powinien go ogrywać po trochu, ciągle, no to i co z tego — wsistko nie dobrze. Co tu zrobić no niema innéj rady niechno się najprzód ożeni. Oj! oj! oj! to z mojéj ręki dostanie takiego zięcia—zaśmiał się z szatańską zajadłością.

Minęło parę miesięcy od przyjazdu Kocia do „Lasek." Rozgospodarzył się na dobre, ztąd i zowąd, jak można, kosztem Golda napychając kieszenie. Gospodarstwo naj-

smutniéj prowadził zamieniając wszystko co się dało na gotówkę, by w danéj chwili, było się czém pocieszyć.

Na wymówki Golda odpowiadał uspakajająco, że ożeni się wkrótce, że grubym posagiem, opłaci wszystkie jego nakłady, że nawet... do zrozumienia dawał naturalnie, że i „Krzywdy“ wrócą w jego ręce, co razem wzięte uspakajało chciwego zemsty żyda. Ekonomem vel rządcą mianował Ignala—przysługa dla Golda nie mała, bo jeśli Ignal o gospodarstwie nie wiele miał pojęcia, umiał za to zaopatrywać mądrze na czarną godzinę, pomagała mu w tém i skąpa Joatka, tak że w parę miesięcy Ignal miał konia i bryczkę, krów parę na oborze i nierogacizny sporo. Prócz tego kontrakt roczny, approbowany przez Golda, żeby w razie wydalenia roczną odebrać zapłatę. Joatka cieszyła się nie pomiernie, opływała sobie niby pączek w maśle i wszystkim prócz Golda, działo się wybornie.

W „Krzywdach“ z dniem każdym Kocio zdobywał dobre dla siebie kréski. Pan Liwski, chwalił jego spryt i doświadczenia, ba! służba nawet, dla któréj co prawda był hojny, pokochała go także.

Pan Liwski, z dawna już wiedział, że droga jedynaczka jego, sercem całem utonęła w jego sercu. Miłość Kocia, aż nadto też dobrze była mu wiadomą, i teraz żeby ją wydrzeć z serca dziewczęcia trzeba byłoby wydrzeć i życie. To też nie usiłował tego pan Liwski, martwiło go tylko wątpliwe położenie Kocia i gospodarski nierząd.

— Jakże bo możecie, mawiał nieraz poufale do Kocia, tak niedbale gospodarować. Inwentarz, Boże odpuść! rola zaniedbana, w takich warunkach z torbami pójść trzeba.

— Mam do tego własne powody, z westchnieniem— odpowiadał Kocio—nieczas jednakże wyjawiać je teraz— ale na wszystko przyjdzie właściwa koléj.

Pana Liwskiego intrygowało to niepomiernie. Ruszeniem ramion dawał poznać, że zrozumieć tego nie może.

. . . .

Była godzina ósma z wieczora. Pani Liwska siedziała w swoim pokoju, z oczami wlepionemi w ziemię. Blada twarz jéj zdradzała wielką boleść. Zwolna podniosła się z krzesła — i z bolesnym jękiem rzuciła się na kolana przed wizerunkiem Boga Rodzicy!

— „Oh! Matko nasza święta! ratuj mię. Namiętności palą moją duszę, piekło wre w piersiach moich. A ja uczciwą być pragnę. Najświętsza królowo ziemi przebacz mi. Serce człowieczych zapragnęło uciech, Boże uciechy niechaj zwyciężą. Oh! natchniéj Pani nasza siłą i odwagą; spraw, żeby święte oblicze Twoje nieodstępowało mię na chwilę, żebym zbłąkana, z przeczystéj Twéj twarzy wiarę i cnotę czerpała.

Łzy rzęsiste zakończyły modlitwę kobiety i z uśmiechem już pobiegła do córki.

W pokoju córki było już ciemno. Helenka modliła się w cichości. Pod krzyżem Zbawiciela i wizerunkiem Matki Najświętszéj, wypowiadała uczucia swe i nadzieje. Wciemności téj, rysowała się tylko, jasna klęcząca postać zatopiona w modłach. Pani Liwska zatrzymała się na progu. Uczucie jednak jakie wezbrało w piersi matki przemogło; pobiegła do klęczącéj i obejmując jéj główkę, całowała ją płacząc.

— Droga moja mamo! zawołała płacząc też Helenka.

Obrazowi temu przypatrywali się z głębi drugiego pokoju przechodzący panowie Liwski i Kocio.—Oczy Ko-

cia, kto wie czy nie pierwszy raz dopiero zajaśniały łzami.

Łzy te nie uszły spojrzenia Liwskiego wzruszonego również uściskiem najdroższych dusz swoich.

— To już — przemówił Kocio, odjadę dziś bez pożegnania — i uścisnąwszy dłoń Liwskiego, konno popędził do domu.

. . . .

Państwo Liwscy mieli tego wieczora długą pogawędkę.

— Kochają się — mówił pan Liwski to pewna. Chłopak zuch i rozumny — a z wielu danych wnoszę, że ma dobre serce. Niewiem tylko o właściwem położeniu jego — to zresztą do materjalnych spraw już należy i jutro pogadam z nim o tem. Myśmy majętni, i jeśli innych nie napotkam przeszkód, chętnie co do mnie zezwalam.

— I ja zezwalem mój drogi, Helenka go kocha—a on mógłżeby jéj nie kochać?

— Ależ kocha, kocha. Kochają się tak, jakto my przed ośmnastu laty; jakto i dziś nawet. To mówiąc ucałował blade policzki małżonki.

. . . .

Obraz tego uścisku, jaki się przemknął przed oczami Kocia, wywarł na nim ogromne wrażenie. Ciepło dusz siostrzanych owiało zimną jego duszę, ogrzewaną wreszcie, ciągłemi spojrzeniami Helenki.

Kocio czuł już zdawna ogromną przemianę sam w sobie, czuł że życie dotychczasowe, raczéj to „Laskowe“ było tylko gorczką pędzącą do grobu. Helenka odkryła mu nieznane dotąd światy domowego życia, nie znane uciechy spokojnego ogniska. Ale położenie Kocia było przykrem co prawda. Lada chwila, znudzony Gold mógł

go wyrzucić z „Lasek“ a choćby wreszcie i trwało to i parę miesięcy cóż ztąd? Żałował Kocio zbytniego pośpiechu, z jakim przyjął propozycję Golda. W innych okolicznościach nieżałował by tego nigdy, bo przecie nic nie stracił na tem, ale dziś w obec szczerego uczucia, jakiem zapłonęło to serce; w obec serdeczności, z jaką witano go w dworku Liwskich, położenie haniebne Kocia, odbierało mu sen i apetyt. I nie dziw, Kocio niewidział żadnego punktu wyjścia. Chodziło mu już o to tylko, aby z kabały téj wyjść bez kompromitacji, aby nie zdradzić się przed zacnymi tymi ludźmi, od których nauczył się żyć i kochać. Po przyjeździe od Liwskich, Kocio całą noc nie zamrużył oka. Wzruszenie, położenie fałszywe na jakie się skazał dobrowolnie; miłość wreszcie, któréj nie przewidywał nigdy; wszystko to mąciło mu się w głowie, gryzło i przerażało go.

— Co począć! co począć? — lamentował Kocio. — Fatalne położenie, niech je piorun trzaśnie. Teraz ani naprzód ani w tył. Oh! moja Heleno, gdybyś ty wiedziała ile ja cierpię, ale cóż? nie jestżem ja sam przyczyną moich cierpień? Co przywiodło mię aż tu, jeźli nie podłość? Okradać, oszukiwać przyjechałem tutaj, a Bóg dobry dał mi zbawienie. Wiem, że jestem lepszy niż kiedykolwiek. Uszlachetniła mię ona, podniosła z kałuży, w któréj po uszy tonąłem. Z tém wszystkiém, co mi pozostaje czynić? Zamąciłem spokojność uroczego dziecka, (nie wiedział o tém, że nie tylko dziecka), zaskarbiłem sobie przyjaźń poczciwego jéj ojca. Matka kocha mię jak syna, a ja powiedzieć im muszę. Gardźcie, bo ja was okraść przyszedłem, gardźcie, bo zabiłem najmilsze wam dziecię — to powiedzieć lub uciec. Ale czy uciekną odemnie drogie te obrazy, jakie ukochałem. Czy ucieknie

ze mną hańba, jaką się w ich oczach okryję, czy ucieknie miłość, która mię rzeźwi i razem pali?

Głowa jego pałała, usta spieczone gorączką drgały, poruszane dreszczami przeszywającemi zmęczone senne to ciało, nareszcie rzucił się na łóżko. Zmęczenie przemogło— zasnął.

W czworakach przy dworze w budynku mieszczącym cztéry mieszkania, jedno z wygodniejszych zajmował pan Ignal, od trzech miesięcy już ekonom Kocia.

Dwanaście lat niewielką wyrządziło w nim zmianę; trochę tuszy przybyło, zarost lekki zciemnił się nieco, a wreszcie chyba strój tylko odmieniał tę postać. Z wysokiego ekonomskiego swego stanowiska ubierał się jak zwykle. Kurta, długie buty i harap w ręku. Złym człowiekiem nie był jednakże, ludek roboczy nie skarżył się nań wcale; przeciwnie lubiano go ogólnie. Nie dziw, pan ekonom sypiał do siódméj, troskliwa bowiem Joatka nie pozwoliła wstać raniéj. Zastępował go w polu i na dziedzińcu karbowy. Tu właściwie rządca dysponował i robił wszystko, zawsze jednak w charakterze porady, to jest kiedy on wypowiedział wszystko, Ignal dysponował z tego robociznę, żeby się nieświadomością nie zdradzić.

Joalka zmieniła się znacznie. Wypulchniała. Ładna ta dziewczyna, stała się ładną kobietą. Przyzwyczaili się do siebie, do kłótni, żartów trywialnych i obójgu dobrze z tém było.

Joatka wreszcie była gospodarną i szczerze kochała swojego Ignala. Ignal téż po burzliwych acz krótkich przejściach rad skorzystał z pomocy Kocia i podobało mu się, czy tylko na długo? to spokojne jednostajne życie, przy boku przyjaciela. Martwiło go tylko niepewne położenie Kocia. O swoje nie dbał tak bardzo. Uciułał

już trochę grosiwa, w danéj chwili sprzeda gospodarstwo, a w Warszawie z jakim takim groszem, da już radę sobie.

— Słuchaj stara, — rzekł raz siedząc przy herbacie z Joatką, — Kocio mi coś smutny i poważny bardzo.

— Bo kocha się, — odrzekła Joatka.

— O tém wiem najlepiéj; poczciwy chłop, sekretów przedemną niema żadnych, ale co to z tego będzie?

— Co będzie? ożeni się i kwita.

— Łatwo się to mówi. U kobiety to wszystko przychodzi tak sobie, jak z płatka, ale my— mówił dumnie,— świadomi życia, wiemy dobrze, że to inaczéj dzieje się trochę. I tak doprawdy dziwić się trzeba, z jaką umiejętnością trzyma w szachu żyda, aby tylko nie dostał mata.

— Ja się tam o niego nie troszczę. Panna go kocha, kochają rodzice, to tam na nic zważać nie powinni i nie będą. A ja — dodała prostując się pysznie, — tylu miałam przecie, a wybrałam sobie ciebie.

— Dziękuję za zaszczyt, — z uśmiechem powiedział Ignal.—Ktoś jedzie,— zawołał zbliżając się do okna. Joatka pośpieszyła za nim.

— Może Gold, — rzekł bledniejąc Ignal.

— Eh! gdzie tam, to z „Krzywd“ pan dziedzic przecie.

— Prawda, — odetchnąwszy przyznał Ignal.

Powóz zatoczył się szybko i na ganku Kocio witał kochanego gościa.

— Do licha! — wołał pan Liwski wchodząc do pokoju, — coś mi to wasze nie tęgo wyglądasz, z przyczyny?

— Z bezsenności drogi panie! Noc całą spać nie mógłem i nie dziw, kto ma takie kłopoty.

— Kłopoty! — zawołał pan Liwski, — może ci pieniędzy potrzeba.

— Dziękuję, o nie tu najmniéj idzie. Mam tyle ile mi potrzeba i o więcéj nie troszczę się wcale. Inne moralne troski przygniatają mię.

— Do kaduka! mówże, zaradzimy może jako...

Kocio zastanowił się na chwilę; poczém usadowiwszy gościa, po zapaleniu cygar zasiadł sam także.

— Kłopoty, jakie mam panie Liwski, to niezwykłe, codzienne cierpienia. To bóle, rozrywające piersi. To rozpacz wiodąca do szaleństwa i zguby.

— Oh! ho! ho! i cóż tam tak strasznego znowu?

-- Powiem wszystko, wszystko, choćbyś mię pan na pręgierzu surowości wypiętnował.

Liwski z uśmiechem przysłuchiwał się tym słowom, pewny, że to Helenka ich treścią.

— Jestem łotr — zaczął zwięźle Kocio.

— No, no, no... zaśmiał się Liwski.

— Poczciwe gniazdo dało mi życie, ojciec mój był zacnym, ogólnie szanowanym urzędnikiem. Matkę utraciłem w dzieciństwie, a kiedy wkrótce straciłem i ojca, zostałem sam jeden na świecie. Innym Opatrzność daje krewnych, opiekunów, ja w ośmnastym roku zostałem pozbawiony tego szczęścia. Trzy tysiące rubli, cały mój odziedziczony majątek zabrało hulaszcze życie i nasi najserdeczniejsi.

Tu przestał mówić przez chwilę. Pan Liwski słuchał ze skupioną uwagą.

— Za mająteczek ten nauczyłem się pić i grać. Piłem, jak mało, grałem — jak nikt. W potrzebie zaciągałem długi drobne, naturalnie i tu posługiwał mi Gold.

Pan Liwski baczniéj jeszcze słuchał, starając się, jakby z opowiadania tego nie stracić ani jednego słowa.

— Przed kilku miesiącami jak w wielu innych razach, udaję się do niego o pożyczkę, o radę co do ożenienia.

— Jak to? — porywczo zapytał Liwski, — miałżebyś w Warszawie obrać już sobie...

— Nie, nie myśląc o żadnéj, gotów byłem wziąść każdą, jaką by mi wynalazł. Gold wynajduje wszystko.

— I cóż? — pytał z żywością pan Liwski.

— W nieszczęśliwą wybrałem się chwilę. Gold przeklinał stratę jaką na zamianie z panem poniósł.

Liwski uśmiechnął się z wyrazem silnego zadowolenia.

— Od paru dni — po krótkiéj przerwie zaczął Kocio, — obmyśliwał on, jakim sposobem wydrzéć panu „Krzywdy,“ ja pojawiłem mu się w téj chwili i mnie za narzędzie swe użył.

Liwski porwał się z krzesła. Spokojna twarz Kocia, jakiś nieokreślony wyraz boleści na jego twarzy uspokoił Liwskiego, spokojnie zasiadł na nowo.

— Chcesz pan pieniędzy, — mówił mi Gold, — chcesz się ożenić, co panu po tém, ja mam interes dla pana. W pobliżu „Krzywd“ mam jeszcze folwark Laski, pozornie sprzedam go panu, a pan jesteś mądry, umiesz grać i wygrasz „Krzywdy,“ wtedy ja odbiorę swoje, a folwark będzie pańską własnością.

Pan Liwski ocierał pot z czoła. Kocio mówił daléj spokojnie, jakby rezygnacja miała wypowiedziéć tu ostatnie swoje słowo.

— Przyjąłem propozycję i przyjechałem tu. W pierwszym dniu zaraz, kiedym was poznał, kiedym poznał serca wasze i życzliwość dla mnie, ohydne plany żyda zarumieniły mię. Pokochałem was. Położenie moje stało się strasznem, czuć tyle ile ja czuję, cierpiéć ile ja cierpię, to przechodzi możność, siły człowieka. Gold

niecierpliwił się. Do uszu jego doszły posłuchy, że, że... tu bladł i rumienił się naprzemian, że — dodał zdobywając się na odwagę, — że kocham was, że wy kochacie mię także, i tu żyd dopatrzył się korzyści, cierpliwie wyczekiwał w nadziei, że poślubię waszą córkę, że trwonić późniéj będę jéj majątek i że choć tym sposobem nasyci swoją zemstę. Oh! Bóg wie ile przecierpiałem. Bóg wie ile mię to zwierzenie kosztuje, ale teraz będę mógł przynajmniéj odjechać, odjechać zawołał — zakrywając twarz dłońmi.

— Chłopcze mój biedny, — zawołał pan Liwski, porywając go w swoje objęcia. — Ja przewidywałem coś... poznałem to odrazu, odgadnąć nie mogłem. Podły Gold wyświadczył ci jednakże prawdziwą przysługę, pozostaniesz z nami, bo Helena będzie twoją.

— Panie mój! — zawołał młody człowiek ze łzami w oczach.

. . . .

W kilka dni Szlama Flus powrócił do zajmowanych przedtém obowiązków. W gospodarstwie było pustkowie przestraszające. Gold ucieszył się tą wieścią, widząc jednak, że porządne życie Kocia nie wiele mu rokuje nadziei, złości się i przeklina, że tyle starań, tyle kosztów przepadło bez nasycenia jego zemsty.

Z BRUKU.

— Dorożka! — zawołał młody człowiek do stojącego przed hotelem Saskim woźnicy.

— Wolny, — mruknął dorożkarz, oglądając od stóp do oczu przyszłego pasażera. — Dokąd?

— Do botanicznego ogrodu, — zawyrokował, siadając młody człowiek.

Dorożkarz podciął z lekka konie, i mrucząc pod nosem o dwuzłotówce, wyruszył z miejsca.

Była godzina szósta. Dzień dżdżysty, pochmurny, jakiemi zwykle późna zaznacza się jesień; mimo to jednak, mimo zapadającego zmroku, można było rozeznać twarz młodego człowieka wyraźnie.

Mógł mieć lat dwadzieścia kilka. Na twarzy wybladłéj, ściągłéj, zlekka tylko rysowały się faworyty, a duże ciemne oczy świeciły w pół przygasłém światłem. Znać było cierpienie i zużycie.

Jak bladą i wątłą była twarz młodzieńca, tak bladą i wątłą była postać cała. Średniego wzrostu, strojnie odziany, miał minę jednego z tych dzieci, które wyradza zbytek a namiętności krępują, tworząc w pół złamaną postać.

Dorożka posuwała się leniwie, to widocznie niecierpliwiło pasażera; głośno wypowiadał niezadowolenie, zachęcając dorożkarza do pośpiechu.

— Djabli tam... — mruczał ten ostatni, — pędzić i pędzić, gdyby jeszcze zapłacił po ludzku... zobaczymy.

Wśród niezadowolenia jadącego i pomrukiwań dorożkarza, dojechali do bramy ogrodu, zkąd jednocześnie wyszła młoda dziwnéj piękności kobiéta.

Lat miała ze trzydzieści pewnie. Wysoka, jasna blondyna, pośredniéj tuszy; prześlicznych rysów twarzy, w ogóle ujmującéj a strojnéj powierzchowności.

Młody człowiek szybko zeskoczył z powozu i uiściwszy kursową należność, podbiegł do niéj wyciągając poufale rękę.

Nieznajoma, czy to świadomie, czy mimowoli, nie odpowiedziała na podaną rękę, a tylko w drugą zwracając się stronę, zapytała prędko:

— I cóż?

— Wszystko idzie dobrze Klotyldo, za parę dni ta mała będzie w twojéj mocy.

— Za parę dni, — powtórzyła Klotylda, — zadługo pozwalasz mi czekać. Liczyłam więcéj na twoją przebiegłość.

— Cóż chcesz moja droga, — ze złośliwym uśmiechem zaczął młodzieniec, — robię co mogę, w połowie sprawa skończona, a reszta pójdzie pomyślnie. Ale — dodał, wpatrując się bacznie w jéj oczy, — czemu tak skrzywiłaś się pani? Czy dziś jak zawsze drażni cię poufałość moja? Jeśli tak, nie zapomnę się już nigdy... chociaż, chociaż, — szeptał traicznie, — miałem przecie do tego prawo...

Klotylda zmierzyła go ostro, i westchnęła głośno.

— Rozumiem, — zawołał młody człowiek, — rozumiem i to westchnienie nawet, żałujesz pani, żeś kiedykolwiek kochać mię mogła, znudziłem ci się, i teraz wstydzisz się miłości, którą darzyłaś mię tak czule.

Oczy kobiety zabłysły gniewem.

— Mylisz się, — rzekła z udaną słodyczą w głosie. W przekonaniach moich nic się nie zmieniło, zresztą nie czas mówić teraz o tém, kiedy ważniejsze zajmują mię sprawy. Musisz opowiedzieć mi wszystko. Coś zrobił, co zrobić zamierzasz, bo niecierpliwość pożéra mię.

— Owszem, opowiem i sądzę, że tym razem nie nazwiesz mię pani ciemięgą. Obmyśliłem plan... ale sza! ktoś zwolna postępuje za nami.

— Kiedy tak, — zcicha odrzekła kobiéta, — podprowadź mię do domu, albo nie, widzę doróżkę, pojadę sama, a ty po chwili przyjdź do mnie. Nie chcę żeby nas widywano ze sobą. — To mówiąc szybko wskoczyła do podjeżdżającéj doróżki.

Młody człowiek skrzywił się do uśmiechu uchylając kapelusza.

— Widzisz ją, — mruczał sam do siebie, — papiéry moje spadają coraz bardziéj, widocznie puszcza mię w trąbę, a jeśli znosi jeszcze, to dla interesu tylko. Djabli mi nadali wtrącać się w te sprawy. Rzecz nieczysta mówiąc szczerze, ale jeśli zrobię...związani tajemnicą... będę mógł wtedy korzystać z położenia i rada nie rada znosić mię musi.

Ciche miarowe kroki postępowały za nim. Były to kroki nie młodego już mężczyzny, rosłego, barczystego, o długiéj, gęstéj, ryżéj prawie brodzie. Szedł on o dziesięć kroków może, kiedy niekiedy zacierając ręce.

Młody człowiek minąwszy aleę, puścił się w głąb Nowego Świata i obejrzawszy się ostróżnie, wszedł do jednego z domów.

Jegomość z ryżą brodą, zatrzymał się w tém miejscu. Bacznie obejrzał miejscowość; zanotował Nr. domu i po-

tarłszy raz jeszcze ręce puścił się daléj w głąb Krakowskiego Przedmieścia.

. . . .

Mieszkanie pani Klotyłdy było wykwintnem i obszernem. Składały je salon, sypialka, parę pokoi mniejszych a wszystko umeblowane względnie do przeznaczenia. Ulubionym pokojem pani Klotyldy, był pokoj zielony; obity i umeblowany zielono. Okna tego pokoju wychodziły na ogród, widocznie pani Klotylda lubowała się zielenią, wszystkie tu smutne spędzając godziny. A może wspomnienia lat przeszłych przykuwały ją do tego miejsca, bo wspomnień tych było nie mało.

Dowodzi tego myśląca, blada twarz Klotyldy, która i w téj chwili, wróciwszy z alei, światło i herbatę kazała tu zastawić sobie.

Siadłszy na kanapie, pani Klotylda niedbale opuściła głowę; piersi jéj falowały szybko, zdradzając niezwykłe bicie serca. Twarz cała, napiętnowana była jakiemś wewnętrznem wzruszeniem. Mimo to jednak kobieta, przy słabem oświetleniu lampy, wyglądała ślicznie. Jasną tę główkę, zdobiły szafirowe oczy, zda się załzawione wiecznie, jak gdyby mówiły o burzliwem, pełnem cierpień życiu téj kobiety.

Burzliwem bo téż było to życie. I jakkolwiek biografia jéj nie wiele w opowiadaniu tém zajmuje miejsca, choć powierzchownie zaczepić ją musimy.

Pani Klotylda zrodzona w poczciwem gnieździe, w dzieciństwie jeszcze została sierotą. Ciotka zastąpiła jéj matkę, czy zastąpiła godnie... zobaczymy.

Ciocia Agata była kobiétą zamożną, nawykła do wygód i rozkoszy, w charakterze swoim urobiła niechęć do mężczyzn, ci bowiem pozwolili jéj pozostać starą panną.

Niedolę ową słodziła sobie ciocia jak mogła, na karcie téż jéj życia, nie jeden zapisano romans. Późniéj, kiedy marszczki zorały twarz zalotną, trzeba się było pocieszać kabałą i kundlem. W fazie téj właśnie przypadła jéj opieka nad Klodzią, piętnasto-letnią naówczas dziewczynką. Nawyknienia cioci, zbytek i przesadzona pretensjonalność ujarzmiły to dziewczę potrosze, zwolna nawykła także do wygód bez troski, a jaśniejąc całą dziewiczą krasą, ciągnęła za sobą tysiące pożądliwych panów, względem których, podług skazowek cioci, była surową i dziką. Surowość tę jednak przełamał młody przystojny człowiek cieszący się imieniem i majątkiem. Był to hrabia podobno, ale po kądzieli. Z tym wszystkiem bogactwo panicza podobało się cioci, obdarowywana różnemi prezenty, z wolna przygotowywała Klodzię, dla któréj wreszcie urok bogactwa, niepomierne miał znaczenie. Młody więc Wacław, hrabia, jak go zowią, do pozyskania miłości dziewczęcia największe miał prawo.

Umizgi i starania z jednéj strony, życzliwość i pomoc cioci z drugiéj, sprawiły, że Wacław został szczęśliwym kochankiem Klotyldy, darząc ją w zamian tém wszystkiem co młodą dziewczynę ujarzmić może.

Wacław był młody, ładnéj powierzchowności i dobrego serca. Dziewczyna więc utonęła miłośnie, w charakterze tym męzkim, a szlachetnym, bez pamięci, bez myśli, że kiedykolwiek opłakiwać to będzie. Ktoby bo wreszcie w zaraniu uciech, o przyszłość trwożyć się zechciał? Klotylda kochała, kochała całą siłą młodzianéj swéj duszy, przyszłość więc nietrwożyła ją wcale. Młodość ma sny i urocze marzenia. Wacław, kochał ją także, wypowiadał jéj to ciągle, wierzyła mu, bo niewierzyć

nie miała prawa. Otoczył ją wszystkiem, młodość, rojenia własne, postawił na ołtarz téj miłości — i obojgu dobrze było z sobą. Niestety! duch nieszczęścia przywiał niedolę w miłośne te strony. Niedola ta w postaci kobiety stanęła między niemi.

Klotylda miała wówczas lat dwadzieścia kilka. Z dziewczątka urobiła się kobieta, pełna powabów i wdzięków. Wacław kochał ją tém więcéj, tém silniéj, aby odtrącić za chwilę. Tak jednak stało się niestety!

. . . .

W truppie śpiewaków włoskich, była młoda, śliczna śpiewaczka, nie śpiewaczka śliczna co prawda, ale kobieta śliczna. Południowe słońce napiętnowało namiętnością przecudne jéj oczy. Ruchliwa postać dorobiła reszty. Wacław zakochał się w śpiewaczce. Chwiejny, słaby charakter tego człowieka nieoparł się pokusom, włoszka podbiła go na wieki. Ani wspomnienia minionych miłośnych dni, ani załzawione oczy Klotyldy nic odciągnąć go nie było w stanie, bał się téj miłości, pod jéj siłą jednak uginał kornie czoło — poddał się nowemu uczuciu i ono zawładnęło nim wszechwładnie. Długo jednak taił przed Klotyldą wzruszenia, jakie miotały jego duszą, kobieta jednak odczuła nieszczęście jakie przygnieść ją miało i od téj chwili w sercu Klotyldy zrodziła się nienawiść dla włoszki, i niepohamowana zazdrość. Wacław ożenił się ze śpiewaczką. Klotylda czarną przybrała suknię, i ta aż do téj nie opuszcza ją chwili. Żałoba sama nie wystarczyła jéj widocznie, innéj straszniéjszéj pragnie ona zemsty, a narzędziem tu ma być znajomy już nam blondynek. Stosunek tych ludzi osłania mała tajemnica — jasna o tyle, że dorozumieć się można, że po Wacławie, może przez zemstę znowu panią Klotyldę

opanowała miłość, uczucie to nietrwałe widocznie, bowiem młody blondyn w niełasce widocznéj. Niełaskę tę objawia pani Klotylda wyraźnie i w postępowaniu jéj czuć przymus, niedający się ukryć. Takie mniéj więcéj było dotąd położenie rzeczy, z tą chwilą zmienia się o wiele. Wacławowi niebo dało córkę. Dziecię to jedyne szczęście matki, jest na teraz ofiarą chciwéj zemsty Klotyldy, wydrzeć je rywalce, wydrzeć je wiarołomnemu, oto dla czego żyje zazdrosna pani Klotylda, oto dla czego blondynek ów wtajemniczył się w jéj plany. . . . . .

Myśl owéj zemsty, nieopuszcza ją ani na chwilę, ból, złość, nienawiść, rumieni jéj oczy, jakby z nich piekło wiało.

W takiém to stanie duszy widzimy ją siedzącą w téj chwili, i w téj chwili własnie dzwonek zwiastuje przybycie znajomego już nam blondynka.

— Jesteś pan wreszcie, zawołała podnosząc się Klotylda— siadaj i powiedz mi wszystko.

— Najchętniéj, śliczna moja, odparł blondyn, całując obie ręce Klotyldy. — Interesa idą nam dobrze, do wykradzenia dziecka niezawodny obmyśliłem planik.

— Ciekawam, przerwała kobieta.

— Oto, zaczął poważnie młody człowiek, musiałem najprzód zakochać się w niańce. Słowa te, na które wyraźny, położył nacisk nie wywarły na Klotyldzie żadnego wrażenia.

— I cóż daléj, zapytała obojętnie.

Twarz młodego człowieka zarumieniła się złością.

— Od paru dni— zaczął na nowo, bywam w ogrodzie Saskim, gdzie regularnie przesiaduje o jednéj przedpołudniowéj godzinie niańka ta czy bona z tą prześliczną małą.

Oczy pani Klotyldy zaiskrzyły się mocno.

— Co daléj — zawołała gwałtownie.

— Ha nic, obojętnie wtrącił młodzieniec. Zakochałem się. Dziewczyna mi ufa, tym więc sposobem odciągnę jéj uwagę, a podstawiona pierwsza lepsza baba, dokończy reszty... to jest... niby coś... porwie i... rozumiesz mię pani.

— Wybornie! zawołała pani Klotylda. Jest to najlepszy środek co prawda, byle by udał się i prędko.

— Uda się niezawodnie, mogę ręczyć za to, z dumą upewniał młodzieniec.

— Ale, wahająco pytała Klotylda, jakąż kobietę użyjesz do tego—rzecz przecie winna być skrytą, inaczéj narazimy siebie, a odpowiedzialność tu karna.

— Polegaj pani na mnie, miłość dla ciebie i rozumu i odwagi dodaje mi zawsze, jutro do dwunastéj mała ta w twojem będzie ręku—ale powiedz że mi Klotyldo, co ty z nią począć myślisz? Chować jéj przecie niepodobna bo...

— Bądź spokojny, ulokuję ją dobrze— idzie o to tylko żebym ją coprędzéj dostała.

— Jutro, zawołał młody człowiek — a teraz, dodał przymilając się, teraz...

— Teraz pan odejdź, przerwała surowo Klotylda.

— Nie dobra! mruknął blondynek. — Do widzenia!

— Do widzenia, odrzekła Klotylda.

. . . .

W brudnéj, zadymionéj knajpie starego miasta, roiło się mnóstwo podejrzanych twarzy. Przy lichéj muzyce— fortepianowéj przecie, pogwizdywał sobie ryżo-brody jegomość, z którym już poznaliśmy się w alejach. Przy nim siedziała młoda lat dwudziestu może dziewczyna,

o wstrętnéj acz młodéj twarzy, zrumienionéj teraz nektarem Gambrynusa. W twarzy téj dziewczyny, przebijał się bezwstyd i głupota. Małe ciemne oczy zamdlone trunkiem, miały coś baraniego w swojém wyrazie. W milczeniu połykała piwo, mizdrząc się tylko kiedy niekiedy do ryżo-brodego sąsiada.

— Pójdźmy już zawołał ten ostatni, bo byś opiła całą bawarję.

— Skąpy brzydalu, zawołała dziewczyna, mnie tu tak dobrze i wesoło.

— Ba! wierzę, mruknął ryży jegomość—ale mnie nie dobrze—cóż to czy kradnę dziesiątki, żeby je dla ciebie marnować. Pieniądz. moja mała, to cenna, a do zdobycia rzecz trudna — zakończył poważnie.

— Jeden jeszcze kufel prosiła dziewczyna, a więcéj nic już wymagać nie będę.

— No niech cię tam wreszcie—zgoda! jeszcze jeden.

Nagle oczy ryżo-brodego zaiskrzyły się—we drzwiach ukazał się znajomy nam blondynek.

Chwilę rozpatrywał się w około, aż zawiesił spojrzenie, na siedzącéj téj parze. Ryżo-brody przyglądał mu się ciekawie i bez przerwy. Blondyn tymczasem zbliżył się do siedzących i przy tym samym stoliku zajął miejsce. Dziewczyna również przypatrywała mu się ciekawie.

Był bowiem niezwykłym gościem w téj jamie, zwiedzanéj przeważnie przez wstrzemięźliwych dorożkarzy, niewstrzemięźliwie tracących mienie swoich panów. To też strojna, wykwintna postać młodzieńca, wyglądała dziwnie w otoczeniu szarych surdutów, wyszarzanych i brudnych fatalnie.

Za zbliżeniem się do stolika — ryżo-brody jegomość powstał ociężale i skłonił się lekko.

— Mnie to zapewnie szuka pan tutaj—z rekomendacyi mego przyjaciela, który miał zaszczyt przedstawić mię panu, a było to jeźli się nie mylę....

— Na wirydarzu — przerwał młodzieniec. Tak jest, dodał po chwili — ale wyjdźmy ztąd, w cichości bowiem chcę pomówić z panem. To mówiąc wyszedł — a za nim też udał się ryżo-brody z dziewczyną.

— Ty mała — rzekł ryży, zwracając się do dziewczyny, ruszaj do domu a przyzwoicie... inaczéj zemną będzie sprawa, rozumiesz.

Dziewczyna odeszła w milczeniu, dwaj zaś ci panowie zeszli na środek ulicy.

— Czy ta dziewczyna—przemówił młodzieniec zdolna do interesu, czy na niéj polegać można?

— Zdolna, nie zdolna, jak do czego wreszcie, odrzekł ryży — wiadomo tylko, że mi posłuszna i robi co każę—zakończył dumnie.

— To dobrze, kiedy posłuszna, będziemy mieć dla niéj na jutro zabawkę, ale sza! sza, dodał ciszéj—tu o ważne chodzi rzeczy.

— Tem lepiéj, zawołał ryży — ale mów pan prędzéj. Niecierpliwię się, kiedy o interes chodzi, parodniowa uczciwość męczy mię, i radbym potrudzić się trochę.—O co tedy idzie.

— Oto, cała rzecz taka...potrzeba potrzeba... ale czy polegać na panu mogę?

— Jak sam na sobie, przerwał ryży, byle tylko zapłata....

— Dobrze, dobrze, zapłacę ile pan zechcesz tylko, i tu młodzieniec pochylił się do ucha ryżego szepcząc tajemnicze jakieś słowa.

— Wybornie — zawołał ryży — rzecz się uda. Dziewczyna ta, podobną bagatelę załatwi sumiennie, idzie o to tylko, gdzie ją ma odstawić.

— To mniejsza—zresztą sam to już załatwię, byle mi tylko do Botanicznego ogrodu zaniosła, tam już poradzimy sobie.

— Dobrze, zawołał ryży — a zadatek?

— Oto jest, rzekł wyjmując pieniądze blondynek, na początek wystarczy, a jutro dopełnimy reszty.

— Czerwone oczy ryżego pana radośnym zajaśniały blaskiem. Idź pan spokojnie — jutro zrobi się wszystko.

— Dobrze, do widzenia!

— Do widzenia! zawołał ryżo-brody.

. . . .

Po odejściu blondyna ryżo-brody jegomość zamyślił się przez chwilę, w nędznéj téj a sprytnéj głowie krzyżowały się różne myśli. Wyzyskać sposobność, a sposobność była to nielada — ale jak wyzyskać — ukraść dziecko — nie sztuka, ukraść i odnaleźć to właśnie, co zajmowało w téj chwili poczciwca. Ukraść, zapłacą, płacić będą ciągle — obawa wykrycia tajemnicy krępować ich będzie. Odnaleźć, to jest skradzione, wykraść ponownie, jest to znów z drugiéj korzystać strony — podwojna praca, ale i korzyści podwójne. Te i tém podobne myśli, zajmowały ryżego jegomościa aż wreszcie zatarłszy ręce zawołał: dobrze.

— Jaki właściwie usnuł planik, nie wiemy, wiemy tylko, że nazajutrz w Ogrodzie Saskim, znajomy blondyn, romansował z otyłą boną w chwili, kiedy młoda, z knajpy wczorajszéj znana nam dziewczyna, w towarzystwie ryżego brodacza wyprowadziła, miluchną dziecinę, jedyną pociechę i szczęście Wacława.

— W parę godzin późniéj, telegramy miejskie, mknęły na przemian. Łzy włoszki, łzy bony i Wacława nawet, mięszały się na przemian w rozpaczy— ryży jegomość, zarobił sto rubli.

Pani Klotylda nasyciła zemstę. Córka Włoszki była w jéj rękach — i już do szczęścia niebrakło by jéj nic pewnie, gdyby, gdyby nie okoliczność, że ryży jegomość, zapragnął więcéj zyskać na téj sprawie, i tą samą drogą, z pomocą wiernéj swéj dziewczyny, wykradł znów dziecię dla oddania go rodzicom. Ryży jegomość zarobił tym razem dwieście rubli.

Pani Klotylda, krótką cieszyła się zemstą. Blondynek postanowił ponownie, a skuteczniéj zabrać się do dzieła, a ryży jegomość obiecuje sobie, z pomocą wiernéj dziewczyny podobną uskutecznić operację.

Smutna rzeczywistość.

Wie o tém każdy i każdy téż przyzna,
Że głową domu, rodziny, mężczyzna.
Tak, jak znów żona z zasad i nazwiska,
Niby aniołem jest tego ogniska,
Gdzie w takiém stadle w dodatku się mieści,
Rozsądek, wiara... słodki śmiech niewieści,
Tam, czy magnaci, czy ubodzy prości
Szczęśliwi, bo istotne szczęście u nich gości.
Lecz takich małżeństw nie wiele niestety!
A niedorzecznych za to massy, massy,
Czy temu winne wyłącznie kobiety?
Może mężczyzni, może ciężkie czasy.
Wszystko potrosze, tak wszystko potrosze,
Przeważnie jednak, to chętka na... grosze.
W obec tych groszy nikną względy, cnoty,
Względy uczucia, rozumu, prostoty,
Młodzik bezwąsy pojmie starą wdówkę,
Jeźli babula ma tylko gotówkę,
Stargany starzec choć wstrętny zgarbiony,
Jeśli bogaty a zapragnie żony...
Tylko na chwilę niech otworzy worek,
A wnet ci tłumy faktorów... faktorek
Wnet go obsłużą, choć oskubią razem,
Cóż ztąd, z dziewicą stanie przed ołtarzem.
I cóż? po czasie pozna biedna młoda,
Że czczość ma w sercu, w duszy żal, tęsknotę,
Że słodkich marzeń, że nadziei szkoda,
Że za dźwięk złota, życie dała złote,
I albo korna znosi żywot srogi,
Albo staruszka w smutne stroi rogi.
Ztądto młodzieży obojga płci hutce
Fatalne życie zawdzięcza gotówce.

Z PAŁACU.

Scena przedstawia sypialnię Baronowéj, mającéj mniéj więcéj lat dwadzieścia ośm; Baron równy jéj wiekiem.

Scena I.

BARON X. — BARONOWA, jego małżonka.

Baronowa *(leżąc niedbale na sofie).*

Baronie! zapal papierosa dla mnie, może z jego dymem rozwieję nudotę, która mię męczy.

Baron *(zapalając).*

Proszę cię duszko. *(Poziewa — chce odejść).*

Baronowa.

Wychodzisz Baronie, dokądże to raczysz?

Baron.

Sam nie wiem kochanie, tak oto... przejdę się nieco.

Baronowa.

Więc do widzenia! Ale czy będziesz na obiedzie? Bo ja prawdopodobnie pojadę do cioci, nie chciałabym więc żebyś czekał daremnie.

Baron.

Wybornie się składa, jam téż zaproszony do Julka i wieczorem zaledwie zobaczymy się może. Do widzenia! *(Wychodzi).*

Baronowa *(patrząc za odchodzącym).*

Szczególna rzecz. Młody, przystojny, dobrze urodzony, a jednak kochać go nie mogę. Co mówię, brzydzę się prawie, choć wcale nie zasługuje na to. Szczególniejsza! jak dziwnie serce włada kobiétą, jak bezkarnie pozwala jéj błądzić. Ale bo téż Doktor, to niezwykły człowiek,

w postępowaniu jego widnieje niepojęty jakiś urok... a rozumny, a spostrzegawczy i pieszczotliwy. Ale czy ja dobrze czynię? Czy głucha na obowiązki słuchając grzesznych podszeptów nie narażę się w obliczu męża i opinii? Eh! trudno, i dla mnie życie ma uroku trochę i ja téż szczęśliwą być pragnę, a potém nie będę ja pierwszą i ostatnią. Obowiązkiem nawet naszym piękne panie, wyrywać się z pod mężowskiego prawa. Oni grzeszą swobodnie, grzechy swoje zowią zwycięztwami, gdy tymczasem kobieta równą swobodą cieszyć się winna.

Subretka *(wchodząc).*

Pan Doktor! *(wychodzi przepuszczając Doktora).*

Scena II.

DOKTOR. — BARONOWA.

Baronowa *(zarumieniona).*

Witam, witam Doktorze! Jesteś dobry żeś mię odwiedził, bo nudziłam się piekielnie.

Doktor.

Szczęśliwy pan Baron, starał się zapewne rozweselić panią, ale czy nie będę miał szczęścia, przywitać go?

Baronowa *(wzdychając).*

Wyszedł przed chwilą i wróci wieczorem dopiero; o zabawieniu mnie Baron myślić nie ma czasu.

Doktor *(ujmując jéj rękę).*

Biédna Baronowo! Tyle wdzięków, młodość jaśniejąca tak świetnie... ah! czemu, czemu los rządzi niewidomie; czemu w uczciwych piersiach ból i zazdrość i czemu *(słodko)* dobrowolnie wyrzekamy się szczęścia, kiedy ono nas blizko. *(Pochyla się z lekka obejmując Baronowę).*

Baronowa.

Doktorze! w głosie twym drga niepojęta dla mnie nuta. Ja wiem że źle czynię, ale słuchać cię tak miło...

Doktor *(klękając).*

Oh! droga pani moja, jam najszczęśliwszy z ludzi. *(W czasie tych słów drzwi otwierają się zwolna i w progu ukazuje się Baron. Baronowa i Doktor wydają okrzyk lekki).*

Scena III.

BARON. — DOKTOR. — BARONOWA.

Baron *(z uśmiechem).*

Doktorze! co znaczy u djabła ta scena modlitwy? Miałżebyś prosić ją o miłość, mówcież mi. *(Spokojnie dobywa i zapala cygaro).*

Doktor.

To jest... bo to widzi pan Baron...

Baron *(siadając).*

Bo to...

Baronowa *(głośno).*

Pan Doktor prosił mię o rękę Helci, naszéj siostrzenicy.

Doktor *(na stronie).*

Otóż masz, wpadłem po uszy w kabałę.

Baron *(wstając podaje mu rękę z uśmiechem).*

Ah! wybornie Doktorze! Taki postępek wzrusza mię. Dziewczynka to ładna i młoda ale uboga zupełnie. Wybór twój przynosi zaszczyt twemu sercu. Doskonale, ja tylko cieszę się z tego i sam nawet przyłożę rękę do wyprawy — przyłożę.

Doktor *(zieleniejący i blady).*

Ah! tyle dobroci... *(na stronie)* Bodaj to wszyscy djabli porwali.

Baron.

Szczęśliwe dziecię, trzeba ją uwiadomić o tém; biegnę, pędzę.

Doktor.

Ależ...

Baronowa.

Ależ mężu.

Baron.

Spieszę, spieszę i wracam nie długo. Wszyscy znajomi wiedzieć o tém winni. Musimy Helcię przecie wyposażyć stosownie. Do widzenia! *(Wychodząc spogląda z boku na Doktora. Na stronie)* A to prześlicznie się zemszczę.

Doktor.

Poszedł, jak honor kocham, poszedł. Cała Warszawa o tém mówić będzie... o pani Baronowo! zgubiłaś mię.

Baronowa.

Cóż chcesz kochany Doktorze! Trzebaż było ratować swój honor.

Doktor.

Słusznie, ależ ja przecie żenić się nie chcę. Ja kocham inną.

Baronowa.

Inną... *(przymilając się)* inną mówisz Doktorze, a tą inną...

Doktor.

Tą inną... tą inną... ty jesteś pani.

Baronowa *(z upojeniem).*

Oh! doczekałam się przecie. Ale posłuchaj mię Doktorze. Męża mojego niepodobna wyprowadzać z błędu, trzeba czas jakiś odgrywać tę rolę, jaką fatalność wrzuciła na ciebie, a późniéj...

Doktor.

. Późniéj...

Baronowa.

Zerwiesz pod jakimś przyzwoitym pozorem... przecie to nie trudno.

Doktor.

Dla ciebie droga moja pani, wszystko będzie łatwém.

Baronowa.

Oh! mój najdroższy!

Doktor *(na stronie).*

Zwyciężyłem.

Z PODDASZA.

(Mała stancyjka, sprzęty stare i nieodzowne; w głębi okno, przy oknie warsztat szewcki, z prawéj strony kuchnia. Przy warsztacie Józef dwudziesto-paroletni chłopak; przy kuchni Zosia, ładnéj powierzchowności kobietka lat dwudziestu może, żona Józefa).

Józef *(skradając się zwolna naraz porywa Zosię w objęcia).*

Zosia *(śmiejąc się)*

No, no, no ty pieszczochu! nie przeszkadzaj mi, rosół kipi, jak Bozię kocham kipi... a jemu karesów się zachciewa.

Józef.

Pal djabli i rosół; mnie tak dobrze, kiedy cię całuję. *(Całuje ją).*

Zosia.

A kiedyś głodny czy ci także dobrze? Oh! ho, wiem dobrze, jesteś wtedy zły i ani słowa nie mówisz. Robota pali ci się wtedy w ręku, jakbyś się na niéj mścił za spóźniony obiad. Może nie brzydalu?

Józef.

Kiedy wiesz Zosieczko, że mnie przy tobie to jeść się nie chce. Ja jestem bardzo szczęśliwy, bardzo.

Zosia *(miłośnie patrząc w jego oczy).*

Kochamy się to i Bóg pobłogosławi nam pewnie, ale mój Józiu! nie pamiętasz pewnie, że jutro...

Józef.

Jutro, jutro rocznica naszych zaręczyn! Oh! ho, gdzieżbym ja tam mógł zapomnieć o tém. Przygotowałem ci nawet podarek. Oj! siarczyście będziesz kontenta.

Zosia.

Kiedyś już powiedział, to daj mi go zaraz. To wszystko jedno przecie, a ja jestem okrutnie ciekawa.

Józef.

Nic z tego nie będzie. Jutro moja droga. *(To mówiąc powrócił do warsztatu).*

Zosia *(patrząc za odchodzącym).*

Józiu! mój Józieczku! pokaż mi przynajmniej. Chcę wiedzieć co to za podarek.

Józef.

Oh! to daremnie, ani nie pokażę ci nawet. Jutro, jutro dopiero moja ty ciekawska.

Zosia *(niecierpliwie).*

Ależ kiedy ja chcę dzisiaj, mój kochany.

Józef.

Nic z tego, powiadam stanowczo.

Zosia *(wstrzymując się od płaczu, ze złością).*

To nie, to nie; żebyś mię kochał, tobyś mi się nie sprzeciwiał, ale ty mnie nie kochasz. Takiego głupstwa nie chcesz zrobić dla mnie.

Józef *(zamyślony, na stronie).*

Nie, trzeba być mężnym i kaprysom kobiety nie poddawać się. Mąż powinien być panem w domu, i wola jego powinna być święta. *(Powtarza mimowoli głośno)* Panem w domu.

Zosia *(gniewnie).*

Panem w domu, a żona więc sługą. Dobrze, ładnie, w kilka miesięcy po ślubie. Oh! ja nieszczęśliwa! Dobrze mi tak, sama sobie jestem winna, sama, po co wychodziłam za ciebie.

Józef.

Ależ Zosiu! nie unoś się, po co takie przykre wypowiadasz słowa. Tak to ty mię kochasz. Oh! ja nieszczęśliwy!

Zosia.

Nieszczęśliwy! widzisz, ja to nieszczęśliwą jestem. Pójdę do matki. *(Zabiera się do wyjścia.)*

Józef.

Ani kroku zrobić ci nie pozwolę, ani kroku.

Zosia.

Jak mi się spodoba, i ja jestem panią swojéj woli.

Józef *(ze złością).*

A ja powiadam, że ja tu panem jestem, powinnaś mię słuchać i basta!

Zosia.

A kiedy ja nie chcę i basta!

Józef.

Nie chcesz! *(Porywa garnek i rzuca go o ziemię, poczém chwyta czapkę i wychodzi.)*

(Za chwilę, Józef w pobliskiéj bawarji zatapia zmartwienie, i od téj chwili niezgoda zapanowała w spokojném dotąd stadle).

W PRACOWNI ARTYSTY.

OBRAZEK SCENICZNY.

Osoby występujące — różne i wiele innych, a mianowicie:

Oleś Antał, zwany jeszcze murzynem i rycerzem, malarz.
Wujek Staś, przyjaciel Antała, chemik.
Robcio, malarz, współlokator Antała, Donżuan nadwiślański i poeta na zawołanie.
Adamowa, ideał Robcia.
Judki, Mordki, Mężowie Stanu i lud.

Oleś *(zrywa się z łóżka. Zegar w sąsiednim naturalnie pokoju bije siódmą).*

Robciu! Robeczku! Robciuniu! *(podbiega i całuje go w oba policzki)* Powiedz, powiedz jak mnie kochasz, ale prawdę bo zginę, skompromituję się na całe życie, splamię po-

tężne imię artysty. *(Z powagą wyprężając się)* Powiedz, jak na prawdę wyglądała Ś-ta Prakseda.

Robcio *(chmurnie).*

Jeszcześ się nie przeżegnał, już stwarzasz kawały.

Oleś *(tym samym wierszem).*

Słuchaj! Adam za babę wyprawi ci wały.
Ha! ha! ha! a to mi się udało jak rzadko.

Robcio *(patetycznie stając na równe nogi. Artystyczne te dwie postacie warte co prawda artystycznego pędzla. Pozy posągowe a garderoba jaka!...)*

I cóż, że rozmawiam z poczciwą mężatką?
I cóż jeźli jéj dusza do mnie się wyrywa!

(We drzwiach ukazuje się Staś, zwany Wujkiem Kudłaczem).

Oleś.

Wujku! zaknebluj buzię, bo Robcio nam śpiewa.

(Wujek w milczeniu naśladuje pozy obydwóch).

Robcio *(mówi daléj).*

I cóż! więc zazdrościcie mi kadzideł dymu...
Że... że...

Wujek.

Pomóż-że Olku! bo zbrakło mu rymu.

Robcio *(w entuzjazmie).*

Oh! nie. Natchnieniem dla mnie to jéj cudne lica.

Oleś *(wstrzymując się)*

Hi! hi!

Wujek *(podobnież).*

Hi! hi!

Robcio.

I cudna, cudna jéj źrenica. *(Poważnie).*
Skończyłem.

Wujek.

Szkoda! do téj chwili rymem ucho pieszczę.
Jaka szkoda że skończył, bo mówiłby jeszcze.

Robcio.

Profani! czy wy wiecie, wiecie, wiecie, wiecie,

Ile pięknych przymiotów, jest w każdéj kobiecie,
Ile słodyczy słodkiéj w ustach białogłowy.

Wujek *(uroczyście).*

A nad tém wszystkiém wisi, harap Adamowy.

Oleś.

Ha! ha! to się Robciu Wujkowi udało,
Harapem zmaltretować poezję twą całą.

Robcio *(zabierając się do potężnéj oracji).*

Bo... bo... bo... *(Macha ręką i wraca do pościeli).*

Wujek.

Najlepiéj mówi, kto nic nie mówi.

Oleś.

Wypadałoby ci tedy zaniemówić.

Robcio.

Ha! ha! to ci się udało. Ale cóż u djabła tak na sucho.

Oleś *(do Robka).*

Wieszczu! Poezja bez nektaru, jest romansem bez kochanka. Tobie tedy o wielka Olimpijska chwało! powierzamy zniesienie wódki... ale żeby każdy w wielkiém tém dziele miał przecie udział, więc Wujek daje pieniądze.

Wujek *(bijąc się w czoło).*

Ma głowę, ma. *(Dobywa pieniądze. Robek tymczasem odziany kołdrą w pantoflach, po miły nektar sunie na Olimp).*

Oleś.

Wszystko to ładnie, ale szelma Jankiel przyjdzie za parę minut po swoje znaki, a tu ani dymu, ani popiołu. Podłożone są wprawdzie, tylko napisać... Oh! on, już go widzę, trzeba by wymyślić jaki kawał, żeby zyskać na czasie. Stasiu, przyświadczaj. *(Słychać było stąpającego po sieni. Głośno)* Biedny żyd, zmarło mu się tak nagle.

Staś Wujek.

A poczciwy?

Oleś.

Szkoda! bo to i dzieci zostawił. Czy wiesz Stasiu, że

to zięć Jankla, a on miał tu przyjść dziś po znaki. Szkoda, bo potrzebuję koniecznie pieniędzy.

(Jankiel chwilę zatrzymał się, przysłuchując się rozmowie).

Wujek *(poważnie).*

Szkoda, ja mu co prawda jeszcze jedną winienem ratę, ale oddam żonie, oh! oddam.

(We drzwiach ukazał się Jankiel).

Oleś *(spostrzegłszy żyda).*

Ach! pan Jankiel, hm... hm. . hm... *(Wstaje).*

Jankiel *(blady).*

Panie Oleś... kto to umarł, co ja słyszałem...

Oleś *(wesoło).*

Dzięki Bogu. Jankiel jest, to ja mam pieniądze. Całe sześć rubli, panie Jankiel.

Jankiel *(spiesznie dobywa pieniądze i daje Olesiowi).*

Ale co to pan mówił, że ktoś umarł?

Oleś *(smutnie).*

Biedny panie Jankiel. *(Do Stasia)* To my wiemy wcześniéj od niego.

Jankiel *(drżąc).*

Co wy wiecie, kto umarł?

Oleś.

To pan na prawdę nie wiesz. Przed godziną już przecie był tu Bord, co widział jak przy nim umarł Zysgold.

Jankiel *(z rozpaczą).*

O wa! o wa! *(Porywa czapkę i wybiega).*

Wujek *(do śmiejącego się Olka).*

A niechże cię! zrobiłeś żydowi kawał. Poleciał jak szalony.

Oleś.

To nic, pogniewa się i przestanie wreszcie, najniewinniéj nawymyśla Bordowi, a ja tymczasem zyskałem na czasie i mam pieniądze.

Robek *(wchodząc).*

Co to u djabła stało się Janklowi?
Leciał jak wichru gnany jaką siłą,
Widzieć go takim mi się nie zdarzyło.

Oleś.

To nic, maleńki kawał. Uśmierciliśmy Zysgolda i poleciał do niego.

Robek *(poważnie).*

O wy! co z ludzkich cierpień drwić umiecie snadnie,
Dowiedzcie się, dowiedzcie, że to jest niełądnie.

(Do drzwi zlekka pukają, poczem w progu ukazuje się Adamowa).

Adamowa *(lat pięćdziesiąt może, szczupła, żółta, o twarzy wyciągniętéj, zdobnéj dwucalową brodawką; szerokie, blado-sine usta kryją rzadkie w pół zepsute zęby).*

Dzień dobry panom, czy można wejść?

Wujek *(na stronie).*

Pyta się czy można, kiedy już weszła.

Adamowa.

Ale bo... jak mamę kocham... panowie tak naturalnie ubrani...

Oleś.

Natura! natura pani dobrodziejko, to jest... natura. Robcio powie to pani lepiéj.

Robcio *(podchodząc do Adamowéj).*

Witaj! wschodzące słońce, co swoje promienie
Zapuszczasz w moją duszę...

Oleś *(do Stasia).*

Skonam na zbawienie!

Wujek *(naśladując Robka).*

Witaj! jutrzenko złota coś światła ozdobą,
Gdybym ja nie był sobą, chciałbym zostać tobą.

Adamowa.

To szczytnie powiedziane...

Adam *(wbiega gwałtownie).*

Czego tu moja pani od rana już szuka? Precz ty wiedźmo do domu, bo ja cię nauczę.

Adamowa.

Impertynencja! jak mamę kocham, impertynencja. *(Wychodzi).*

Wujek *(śmiejąc się).*

Impertynencja, jak mamę kocham impertynencja!

Oleś *(złośliwie przypatrując się Robciowi).*

Oh! prozo!

Robek *(wzdychając).*

I śliczną tę istotę tak tyranizuje
Tyran, co nic nie umie i nic nie odczuje.
Czemuż mię, a mię czemuż nie dały niebiosy
Z anielską tą istotą podzielać swe losy...
Czemuż?

Oleś.

Wyrzuć go Wujku, bo już mdłości czuję...

Robek *(gwałtownie).*

Wyście wszyscy tyrani, nikt jéj nie pojmuje.

Wujek.

Zamiast wyrzucić sądzę, związać go wypada,
Zwarjował lub zwarjuje, od rzeczy już gada.

Oleś.

Więc wiążmy no i daléj, tam gdzie to Jan Boży..
Co prędzéj, bo za chwilę owarjuje gorzéj.

Robek.

Maluczcy, wy nie wiecie, że człowiecza siła
Nigdy ducha nie splotła i nie ujarzmiła;
Więc stójcie! bo chociażby i sam Osman basza
Wyruszył z całą Azją, nic mię nie przestrasza.
Jam duchem jak świat wielki! bo w piersiach mych tleje.

Oleś.

Stasiu wyrzuć go za drzwi, bo z śmiechu zemdleję.

(Pukają i za chwilę wchodzi mąż stanu w postaci woźnego sądowego)

Woźny.

Czy tu mieszka pan Aleksander Antał?

Wujek.

Mieszkał tu, ale od kilku dni przeniósł się na Nowolipie Nr. 63, z bramy na lewo drugie drzwi.

Woźny.

Ach! niech cię, z pod Solca na Nowolipie, oto bal. Do widzenia!

Wujek.

Do nóg padamy!

Oleś.

A niech cię z twoim dowcipem, może to rzecz ważna!

Wujek.

Nie minię cię, tymczasem niech pospaceruje sobie trochę.

Robek.

Małego ducha! ażaliż nie wiecie,
Że bliźnich trzeba...

Oleś.

Na kawał brać przecie.

BIAŁE MURZYNKI.

Pochylona nad igłą, wybladła i głodna,
Dwanaście godzin smutnie pracując na grosze;
To obraz naszéj szwaczki, kwestja pióra godna,
I dalibóg bez śmiechu dzisiaj ją podnoszę —
I pytam was kapłanki mody i nowości!
Czy nigdy nie powstała myśl ta w waszéj głowie,
Że niewolnice igły w najpierwszéj młodości,
Tracą już dla was cerę, więc piękność i zdrowie.
Że sto procent ciągniecie z ich pracy, to przyzna
Każda choć w głębi ducha — boć straszna drożyzna.

A w zamian i co pewna darzycie je za to,
Groszową, tak wyraźnie groszową zapłatą.
Najprzód chciejmy rozpoznać, jak się to odbywa
Proces ten, — gdzie dziewczynka chléb sobie zdobywa.
Oddana do nauki, najmniéj przez rok cały
Nie pobiéra nic zgoła — za to w drugim roku,
Pierwszy raz łza radości zabłyśnie w jéj oku,
Bo na miesiąc ma *rubla*, toć datek wspaniały;
Tak pracuje biedaczka, mówiąc bez nawiasu,
Na godzinę obiednią nigdy nie ma czasu...
Że jednak i żołądek ma tam jakieś prawa,
Ztąd władczyni murzynek (jeżeli łaskawa?)
Daje wodę gorącą (daryż niebogate?)
Więc może pić herbatę, która ma herbatę.
To nie bardzo wesoło lecz prawdziwe bardzo,
Bywa téż, że dziewczęta darem takim gardzą,
A wtedy chleb lub bułka, często téż łza krwawa,
To jedyny ich pokarm, to dziwna ich strawa.
W miarę czasu — właściwie *interesów bytu*,
Podnosi się téż płaca... gdy dojdzie do szczytu
Sześciu mniéj więcéj rubli, już dziéwa szczęśliwa,
W kole rówiennic panną starszą się nazywa.
Ot! macie w części obraz— obraz pracownicy,
Cóż mówić o potrzebach człowieka-dziewicy!
O potrzebach jéj własnych, gdzie w domu jak bywa
Często opieką matki jest ta nieszczęśliwa.
Opieką ojca starca, lub opieką braci;
Co będzie, gdy ta biedna zdrowie, młodość straci?
Co będzie? to powiedzą szpitale lub gorzéj
Prostytucja, co strasznie ofiary te mnoży.
A jak zaradzić złemu? to trudne pytanie,
Do was się odwołujem pracownic tych panie!
A wy znów zacne damy, które z trafu woli,
Nie znacie łez głodowych, nie znacie niedoli,
Założcież instytucją by miała na względzie,
Dźwigać takie cierpiące — a w zamian znów za to,
Zadowolenie własne nagrodą wam będzie
I wdzięczność społeczeństwa, rozkoszną zapłatą.

Z MOICH BAJEK.

Stach miał majątek, majątek spory,
I śliczną żonę i śliczne dziatki;
To też wyprawiał sute wieczory,
I miał przyjaciół, bo miał dostatki.
Rodzinną niwę kochał jak matkę,
Synowsko pieszcząc rodzinną chatkę.
Pani Stachowa była z tych grona,
Co tak anielsko słodzą nam dolę,
Najlepsza matka, najlepsza żona,
Z wieczną pogodą na białém czole.
Jak śliczna główka tak ślicznie w głowie,
Jak czysta dusza, tak czysto w słowie.
Gdzie Bóg rozwieje czar gościnności,
Tam każdy wiecie radośnie spieszy;
I rad najdłużéj w domu tym gości,
Boć go tu wszystko wzrusza i cieszy...
I uścisk bratni i słowa bratnie,
Owe serdeczne „bądź zdrów" ostatnie.
Raz — a w jesieni było to pono,
Stach imieniny wyprawiał żonie,
Więc się bawiono, jak się bawiono!
Nie tak, jak w waszym warszawskim tonie.
Młodzież a rzeźka to młodzież była,
Hasała dziarsko i dziarsko piła,
A komu w nogi zalazły grzechy,
Boć starość cierpi gdy młodość bryka,
Nie mogąc dzielić skocznéj uciechy,
Z poważniejszymi siadł do stolika.
Toć z dwojga pustot pierwszą już wolę,
Niż kilka godzin siedzieć przy stole.
Po preferansie, jak się to zdarza,
Zwykle się jakaś rozgrywka stwarza,
Na pozór skromna, a w końcu bywa,
Że się nie jeden potężnie zgrywa,
I składa haracz głupstwu czy modzie,
Żałując późniéj szkody... po szkodzie.

Tak się tu stało. Znów stół obsiadła
Rycerzy owych rzesza wraźliwa,
Sąsiad sąsiada szczęśliw ogrywa,
Stachowi kilka tysięcy zjadła.
Kilka tysięcy! nic... w swojéj porze,
Wszystko to odbić uda się może.
Stosownéj pory nie szukać długo,
Owi szczęśliwcy chętni połowu,
Wnet pośpieszyli z taką usługą...
I grubiéj Stacha ograli znowu.
Aż mu rozgrywka mówiąc boleśnie,
Siwizną głowę obsiała wcześnie.
Martwił się biedak, odgrywał co dnia,
Rzucając wexle w żydowskie szpony;
Ufny, że błyśnie szczęścia pochodnia,
Że zwróci spokój własny i żony.
I tak lat kilka zwodził sam siebie,
Dziś gospodarzy... na cudzéj glebie.

BAJKI PARAFJALNE.

W okolicy zkąd piszę, każdy wie dokładnie,
Że młodzież płci obojga czas przepędza ładnie.
Naturalnie, uciechy, konwenansu siła,
Gdzie niegdzie jeszcze jakoś przed światem ukryła;
Gdzie niegdzie towarzyskie względy już na stronie,
A grzeszków ciąży wiele nie na jednéj żonie!
Oto temi już czasy, pani Agrypina,
Małżonka pana Kufy, nieszpetna babina,
Że jéj żonkoś stargany stawał na przeszkodzie,
Wysłała go do Wiednia, jak to teraz w modzie.
Bawi się, jak się bawi wesołości córa;
Nie dziw, i cóż ma robić, kiedy pan mąż ciura.
Mężczyzni równie pięknie pędzą czas w tém życiu,
Boć nie brak przyjemności w szulerce i w piciu,
A choć nie ma gotówki, jest inwentarz, cugi...
W ostateczności służą honorowe długi.

Że się nie ma czém spłacić, więc się też nie spłaca,
Toć przecie przyjdzie żniwo, co żydków wzbogaca.
Piśmiennictwo też kwitnie... fiu! fiu! nie na żarty,
W każdéj książce tu znajdziesz nierozcięte karty;
To już z szacunku książki, a tytuł sam przecie,
Wypowie, co się dzieje w umysłowym świecie.
Politykę — tę znowu na wiarę gazety,
Uprawiają mężowie stanu i kobiety.
Słowem w owym zaścianku wszystko kwitnie mile,
Można by tam coś dodać... lecz dosyć i tyle.

Z PODLASIA.

Dziwni ludziska w owéj krainie,
Którą Podlasiem cały świat zowie;
Każda tu plotka wnet się rozwinie,
Gdyż rozwijają nawet panowie!!!
Słowem, kto człekiem tu się nazywa,
Po same uszy w ploteczkach pływa.
Zwłaszcza przezacne nasze dewotki,
Oddadzą — wiernie — wszystko za... plotki.
Co tam... że ten... ów... w kole swych braci...
Honor lub szczęście domowe straci...
Kto takie rzeczy ma dziś na względzie,
Głupstwo!.. więc plotki panują wszędzie.

Z FARSY ŻYCIOWÉJ.

Kochali się szczęśliwi, szaleni bo młodzi...
Przyszłość ich nie straszyła — widzieli różowe
Marzenia, które tylko myśl płomienna rodzi,
Nim zwątpienie ogarnie i serce i głowę;
Aktorem był, aktorką ona także była,
Na deskach jednéj sceny obok siebie żyli,
Nie dziw więc że ich siła talentu złączyła,
Rozkazując zapomnieć o wszystkiem dla... chwili.

Wkrótce kochanek czuły, chorągiewkę zwinął,
Już go nie zachwycała aktoreczka młoda;
Powrotu chwil szczęśliwych dzień na zawsze minął,
W sercu biednéj wrzał ogień, — w jego piersi... woda.

Im więcéj pieprzu, tém więcéj goryczy.

Niech świat kamieniem potępienia ciska,
Z pięknych organów gorzkie zabrzmią tony;
Trzeba jednakże przypatrzéć się z bliska,
Jakie nam dzisiaj wychowują żony.
Wiadomo najprzód, że na całym świecie,
Lalkami zwykło zabawiać się dziecię.
Zabawa taka, już w saméj swéj treści,
Wiele korzyści dla dziewczątka mieści,
Przed abecadłem nauczy dziewczynę
Czesać kok lalki, wiązać krynolinę...
I gust wyrabia — cóż dziwnego przeto,
Że już w pieluchach modną jest kobietą?...
Dokąd nie wzrośnie bawiąca się lala.
Tu następuje praca — fiu! nie kpiny.
Męczą nóżęta i palce dziewczyny,
Aż téż w lat kilka wierzcie, prawda szczera
I polkę zagra i tańczy lansiera.
Już zna kapłanów wszystkich świętéj sztuki,
Prócz tych pobiera i ścisłe nauki.
Literaturę uprawia téż mile,
Na pamięć wierszy wypowie ci tyle...
Że i zachwyci, zabawi i znudzi...
I wszystkich wielkich choć z nazwisk zna ludzi,
W trzeciéj już fazie toć dojrzała przecie,
Winna dokładnie rozumiéć, że w świecie
Zrobić karjerę wypada dziewczynie
I tém rojeniem zajęta jedynie,
A w polowaniu i zawsze i wszędzie,
Cyfrę dochodu ma wiecznie na względzie.

W czwartéj znów fazie, jeżeli już łowy,
Przyniosą męża — powraca rzecz jasna,
Nauk przeszłości cały zbiór gotowy,
Na pierwszym planie lśni tu miłość własna.
Żądze zabawy no i strojów żądze,
Po co oszczędzać liche te pieniądze,
Mąż zapracuje — a wypada przecie
Poimponować jak niebądź na świecie.
Po to koncerty, pikniki, ogrody,
Żeby się bawić mogło dziecię mody.
Słowem gdy moda lśni na wszystkie strony,
Nie dziw że modne wychowują żony.

WSPOMNIENIE.

Miło pobujać w tém przeszłości niebie,
Gdyśmy z Helenką marzyli tak słodko;
Ona mię zwała słoneczkiem dla siebie,
A ja ją zwałem uroczą pieszczotką.
Miło to wspomnieć, jak lekka i pusta,
„Kocham,“ szeptała, całując mi usta.
Miło to wspomnieć — ale znów nie miło
Pomyśléć o tém, że na tym padole,
Tyle się przeszło, tyle się przeżyło
I tyle marszczek na starganém czole.
Oj! oj! nie miło pomyśléć że ona,
Z mojéj poręki, upadła..., stracona.

Z komedyi Życia.

Siódmy krzyżyk Janowi zasiadł już na grzbiecie,
Siódmy krzyżyk, nieżarty! jednak starowina
Umyślił, że gdy piękna trafi się babina,
Poświęci jéj dni resztki na pięknym tym świecie.
Szukał więc i wynalazł — przyjęła go mile,
Bo stary był cieplutki, folwarków miał tyle....

Tyle podarków znosił, więc go polubiła,
A była to wdóweczka i młoda i miła.
Młodą, bogatą teraz, niedziw — chłopców roje,
Otaczało — namiętnie głosząc czucia swoje.
Na namiętne uczucia głuchą być nie można
A i rozrywka w życiu rzecz przecie niezdrożna.
Mąż stary — acz go targał wąż dzikiéj zazdrości,
Że kochał niby dziecię tę zwodną kobietę;
Za pieszczoty wybaczał błędy swéj jejmości,
I powierzył jéj honor i swoją kaletę.
A pani się bawiła, co dnia ze szkatuły,
Ulatniały się paczki bankowéj bibuły;
Młodzież chwytała grosze bo i któż nie chwyta,
Była to bowiem bardzo uczynna kobieta.
Starzec targany bólem, pełen grozy, żalu,
Umarł, kląc namiętności i zwodnicze żony;
A wdówka gdy siwizną włos dziś pobielony,
Resztę dni na posłudze spędza przy szpitalu.

Niesłuszne skargi.

Próżniactwo kwitnie, krzyczą w około,
Czy sprawiedliwie zobaczmy przecie;
Gdzie tylko spojrzeć mile... wesoło! ..
Pracuje ludek na bożym świecie.
Tak zwana „Górka" jasno wam powie,
Jak to tam młodzi, starzy panowie,
Oblani potem pracują szczerze,
Toć patrząc na nich aż litość bierze.
Zaledwie ranek zaświta boży—
Cnych pracowników grono się mnoży,
I *piramidka*, *kręgle* lub inna
Tego rodzaju praca niewinna
Idzie aż miło — trwa to dzień cały,
Dla przedsiebiercy zysk to nie mały,

A pracownikom ta korzyść spływa,
Że kto silniejszy, słabszego zgrywa.
Opodal znowu, zajrzyjcie proszę,
Jak to w handelku w miłéj gawędzie,
Jedne po drugich przynoszą kosze,
Powie wam każdy, jak ci próżniacy,
Tak nie pochlebnie przez was nazwani;
Zaraz z południa przy ciężkiéj pracy,
Przy dobréj chęci, pełnéj kieszeni,
Szklankę za szklanką ciągną, jak mogą,
Krzycząc naprzemian, że dziś tak drogo!
W niewieścim świecie nie mniéj się trudzą,
Toć nasze panie ledwie się zbudzą,
Wnet ciężka praca bo... toalety...
Czeka z nich każdą, każdą niestety!
I wiemy przecie że godzin parę
Spędzają przy niéj młode, czy stare....
Więc po cóż wszystkie te narzekania,
Kiedy tu praca kwitnie aż miło,
Tę tylko prawdę wyznać chęć skłania,
Że mniéj próżniactwa nigdy nie było.

PRZY KSIĘŻYCU.

Była noc — noc gwiaździsta, istna noc miłości,
Naokół cisza głucha tylko wiatru wiewem
Poruszały się liście, tylko smutnym śpiewem,
Sowa, psuła harmonję ogólnéj cichości.
Była noc, pełna woni, niebieskiego blasku,
Pełna szeptów miłosnych noc w bielańskim lasku.
Dwoje ludzi, oboje w saméj życia wiośnie,
O przyszłości, o szczęściu marzyli miłośnie.
I tak ich moc uczucia silnie ujarzmiła,
Że gruchali, gruchali .. choć północ wybiła.
On mówił: gdy już etat dostanę aniele,
Różami, całą drogę życia ci uścielę.

Każdy dzień ci upiększę, osłodzę, przystroję,
Każdą łzę twą wypiję — oh! ty słonko moje!
Ona mówiła znowu: za szczęście jedyne,
Drogi mój! ty mi kupisz do szycia maszynę.
Ja z tobą będę wspólnie pracować i szczerze,
A że Bóg nam pomoże, wierz w to, jak ja wierzę.
I nadzieję kochanków zamknął uścisk szczery.
Chcieli pójść — usłyszeli głośne na raz szmery.
Rzeczywistości smutna! próżne były groźby,
Daremne narzekania, łzy nawet i prożby!
Trzech rabusiów zabrało suknię, surdut, grosze,
Pozwalając kochankom kląć nocne rozkosze.

NIESZCZĘŚLIWI.

W winiarni Szmula, jak często bywa,
Gdy się zebrała szlachty gromada,
Wszczęła się zaraz dysputa żywa,
Każdy się z własnych cierpień spowiada.
Ten nad młodzieży żali się bytem,
Ów nad drożyzną. . nad kredytem . .
Ten że mu w domu więdnieją córy,
Choć je przystraja w koki, turniury;
Słowem narzeka każdy, jak umie,...
I topi smutek w klarownym Mumie.
Szmul jeden tylko milczy uparcie,
Ochota szlachty coś go niecieszy;
Choć go „kolegą“ zowią dziś w żarcie,
Nawet zasługą niechętnie spieszy,
Znać odgaduje, ze owo picie,
Zawiśnie w części na deficycie,
Pan Jacek tylko, człek starej daty,
I pracowity, ba! i bogaty,
Siedział nad kuflem prostego piwa,
I do pijących tak się odzywa:
—Mościwi moi! słysząc te trele,
Godzi się wyrzec, że to są kpiny;

Spojrzcie na ludzi, tam ojców wiele,
Których mrą z głodu słabe dzieciny.
Tam łeż tysiące .. niedoli krocie,
Co dnia zawodów smutnych miljony,
Tam ciągła praca, tam w ciągłym pocie,
Pracują męże, pracują żony.
A wy do licha!... co, ot! w téj dobie,
Jak w każdéj innéj jeźli zaświeci,
Trzyrublowego ciągniecie sobie,
A w domu syte, ogrzane dzieci ..
Na takie *dictum* szlachta mosanie!
Uznaje zacne sąsiada słowa;
I dla uczczenia, znów koléj nowa,
To na cześć mówcy... podziękowanie.

Z PRZESZŁOŚCI.

Bodaj to Janie szkolne te czasy,
Kiedyśmy razem na jednéj ławie,
Tam u Pijarów w miłéj Warszawie,
Z jednéj brzeziny zbierali basy!..
Oj! oj! mój bracie, aż wspomnieć miło,
Jakto się chętnie wtedy uczyło.
Na jednéj stancji staliśmy razem,
I chléb i fajkę dzielili skrycie;
Boć by tam fajka nie uszła płazem,
Wnet by obili i należycie...
Dzisiaj mój chłopak w czternastéj wiośnie,
Jak dąb olbrzymi, zdrowo mi rośnie.
Uczy się nieźle, ale cóż przecie,
Nie wie czém pachnie rózga na świecie...
A ja mój bracie mówię zakaty!
Że jak chléb człeku, potrzebne baty!...

SUUM CUIQUE.

Żelazna brama jak wszyscy wiecie,
To centrum handlu w Warszawskim świecie,
Roje przekupniów, przekupek roje,
Gimnastykują języki swoje.
Gęsi i wstążki, śledzie i kwiaty...
Chłopek bezwąsy, szlachcic brodaty,
Co to Judei herbem się szczyci...
Sprzedają masło, szuwaks i nici,
Wśrodku tych kramów, są znowu kramy,
Zwane od *bydła*, których okazy,
Służą na befsztyk, pieczenie, zrazy...
A przy nich pulchno opasłe damy,
Owóż na teraz miłe te panie,
Zbudziły wieszcze nasze śpiewanie,
Suum Cuique. Wiadomo przecie,
Każdéj warszawskiéj skrzętnéj kobiecie,
Że w owych handlach mięsa i kości,
Z dawna już z dawna grzeczność niegości.
Impertynencji za to też siła,
Tu się wielmożnie rozwielmożniła,
Maleńki fakcik więc wam podamy.
Rzecz się tak miała: przy pewnéj budzie,
Jakto zwyczajnie zeszli się ludzie—
Po wole dary... cielęce dary...
Żądając wiernéj ceny i miary,
Właściwie wagi—a w kramie była,
Rzeźnicza dama pięknie otyła,
Pięknie czerwona, ot! jakto bywa,
U amatorek gorzkiego piwa.
Czy nawyknieniu czy piwa sile,
Zawdzięczyć trzeba, dość że nie mile,
Traktując wszystkich, uczuła przecie,
Nie z gliny bambus na zacnym grzbiecie.
Tu to dopiero powstały krzyki,
Śmiechy obecnéj wszędzie gawiedzi,
I w pamięć chwili dla dobrodziki,
Odtąd *bambusem* zwą ją sąsiedzi.

Korespondencja z Kaliskiego.

(Pod sekretem).

Malując owe strony mam tu na uwadze,
Niedozwolić przystępu kłamstu, ani bladze.
I wiernie skreślić tylko jak się też to plecie,
W naszym prowincjonalnym wykwintniejszym świecie.
Od czego zacząć jednak? to trudne pytanie,
Ha! pierwszeństwo, dla kobiet— a więc od was panie,
Od was anioły ziemi, pieszczone pieszczoty,
Od was obrazy uczuć, miłości i cnoty.
Nie wiele was tu widzę — widzę dobrze za to,
Każda z was w cne przymioty ma duszę bogatą,
Żółć, zdrada namiętności od was idą bokiem,
Cóż tam, że mąż Klotyldzi ma sinca pod okiem...
To stało się wypadkiem, pani pogłaskała,
I skończyła się na têm awantura cała.
Cóż tam że pan Ambroży wyraźnie powiada,
Że w domu jego z dawna grassuje już zdrada.
Najprzód, że paplać o têm niepowinien przecie,
Gdyż sam psuje opinję zacnéj swej kobiecie...
Gdzie źle w domu, tam jeszcze może być i gorzéj,
Nie lepiejż, jeźli w domu gości pokój boży?
„Zgoda w pośród rodziny, to kwiat rajskiéj niwy“
Masz tobie! Janio krzyczy znów, że nieszczęśliwy!
Zastanów że się człeku — i cóż ci to szkodzi,
Że żona w szklance piwa przyjemność znachodzi,
Gdy kłótliwa kochanie, to prędzéj ci zaśnie,
Ot! widzisz! dzięki szklance opowiem wam właśnie,
Jakto po ludzkich grzbietach nieszczęście pomyka.
I w czém zawinił Adaś — i w czém magnifika.
Adam o czém wam wiedzieć potrzeba dokładnie,
Przez życie kawalerskie prowadził się ładnie.
Polował, jak mógł biedak w okół na posagi,
Aże blagował nieco, padł ofiarą blagi.
Miał on majątek spory, ba! i nawet z lasem,
Lecz puścił o czém tylko wspominam nawiasem.

Opodal żyła znowu śliczna panna Klara,
Wprawdzie nie bardzo śliczna — lecz bogata pono,
Nie była także młoda — nie była też starą,
Oto, została wkrótce Adamową żoną.
W dni kilka mąż skrzywiony — rzecz się bo odkryła,
Że Klarcia, tak jak Adaś golutenką była.
I daléj... nic na teraz więcéj nie odkryję,
Bo myśląc o têm *daléj* aż łzy w oczach czuję.

CASUS FATALIS.

Sąsiad mój .. człek mosanie nie dzisiejszéj daty,
Podtatusiały dobrze, dobrze szpakowaty,
Pięć krzyżyków jak obszył, dźwiga na swym grzbiecie,
Nie jedną troskę, boleść przebył na tym świecie.
Wprawdzie, że niewynalazł prochu ani pary,
Jednak rozumny dosyć—no bo dosyć stary.
Sąsiad ów — a Wojciecha nadano mu imię,
Ma jedną małą wadę — wykryję ją z cicha;
Oto, lubi mosanie w bawaryjnym dymie,
Zajrzeć siwemi oczy, aż na dno kielicha.
Raz o miesiąc zaledwie mija od téj chwili,
Gdy pan Wojciech mosanie zajechał do miasta;
Otoczyli go tedy przyjaciele mili,
Ot i do handlu zaszli, gdzie pili i basta!
Ile pękło butelek węgrzyna, kto zgadnie,
Dość na têm że się wszyscy postroili ładnie.
Jan furman zachęcony przykładem dziedzica,
Zalazł w pobliski szynczck, gdzie chlapał po trosze,
Aż zbielała mu żółto-zielona źrenica,
Aż po godzinach kilku wydał wszystkie grosze,
Kiedy już przyszło wracać—djable kusa rada,
Wsadza sąsiad furmana a furman sąsiada,
No i ruszyli wreszcie — a uoc to już była,
Noc pochmurna i dżdżysta — a w okrąg na niebie,
Ani jedna gwiazdeczka ludziom nie świeciła,
Tak ciemno, że człek panie nie widział sam siebie.

Do domu było jednak pięć mil i z dokładem,
Szkapy wlokły się sobie utartym już śladem—
A sąsiad i woźnica chrapali wspaniale,
O tym padole płaczu nie myśląc już wcale.
Jakto tam było dalej trudnoć wiedzieć o têm,
Dość na têm, że pan Wojciech w miłej têj podróży,
Stoczył się jakoś z bryczki, przywitał się z błotem,
I syt sławy . . i wina... legł w miłej kałuży.
Wiew wiatru, wnet orzeźwił śpiącego furmana,
Przetarł zaspane oczy i ujrzał nareszcie,
Że zgubił nie ostrożny rodzonego pana,
Szło oto, czy go zgubił w drodze już czy w mieście.
Kto szuka znaleźć może—Jan szukał aż przecie,
Znalazł swojego pana, śpiącego aż miło,
Tymczasem już się słonko ze snu przebudziło,
I patrzyło na ludzkie troski na tym świecie.

MAMA FINANSISTĄ.

Kasia w dwudziestéj wiośnie wiedziała dokładnie,
Że ładna, że swą główkę umie czesać ładnie.
Wiedziała że kobiety celem na tym świecie,
Wyjść za mąż i wyjść dobrze — wyjść dobrze, a przecie
Mimo usilne chęci, mimo zręczne siatki,
Żadne z wąsami ptaszę nie wpadło do klatki,
Nie wpadło ale wpadnie tłomaczyła mama,
Która w życiu tę troskę przebywała sama,
Z życiem potrzeba walczyć mawiała do córy,
Ja wynajdę ci męża — ręczę za to z góry,
A był w gronie znajomych młodzian pełen krasy,
Pełen krasy i zdrowia — fenomen w te czasy,
Który prócz tych przymiotów i tem jaśniał jeszcze,
Że wwypukłych swych piersiach nosił serce wieszcze,
Tak wieszcze, gdyż pisywał wierszem poematy,
Fragmenty i sonety nawet fantazmaty,
Który lubo, że niebios dosięgał swym lotem,
Uśmiechem stroił usta przed rublem, przed złotem.

Lolo było mu imię i wieszcz nasz ów Lolo,
Nie mógł się jakoś biedak pogodzić z niedolą,
W ciężkich warunkach życia radzić sobie trudno,
A Lolo był uczciwym, gardził drogą brudną,
Za jedyny punkt wyjścia uznał ożenienie,
Ożenienie! śmierć zatém, a może zbawienie,
Wieszcz Lolo kochał Kasię — oh! kochał w połowie,
I jeśli ją miał w sercu, to posag miał w głowie—
Radby się chętnie żenić, chodziło mu o to,
Czy w szkatule bogdanki, ma siedlisko złoto?
Czy gości no i ile? — miał to przekonanie,
Że choć kilka tysięcy wraz z Kasią dostanie.
Przekonanie to pieścił dzięki znów ufności,
Jaką wyjednał sobie u mamy jejmości.
Dla któréj w każdy miesiąc skupywał w *papierze*,
Grube listy zastawne— a w chwilach tych ona,
Dawała mu też poznać w pół skrycie w pół szczerze,
Że przez nie drogiéj Zosi przyszłość zapewniona.
Listów winna być kupa — on sam przez rok cały,
Zakupił ich dla mamy kontyngens nie mały,
I stało się jak pragnął — zapisano w górze,
Stadło — jego we fraku no... a ją w turniurze,
W dni kilka, wieszcz rozpoznał, jak się rzeczy miały,
Poznał, że tysiąc złotych, żony posag cały;
Tajemnica z listami teraz się wydała,
Że mama przez rok cały jednym handlowała.

Z Komedji Życia.

W pokoju było ciemno, ciemno lecz nie pusto,
Klęczał szczupły młodzieniec przed babiną tłustą,
I szeptał: kocham! kocham! kocham cię świetlana!
A ona, ona także siadła na kolana,
I rzekła: O tak wspólnie zaprzysiążmy sobie,
Że przestaniemy kochać chyba tylko w grobie,
Tak co dnia przysięgali — co dnia z jéj szkatuły,
Ulatniała się cząstka bankowéj bibuły,
Wreszcie wszystko ma koniec co początek miało,
Z ostanim rublem serce chłopca uleciało.

BLAGIER.

Dziwni są ludzie na naszym świecie,
Jam kulę ziemską objechał przecie,
Dziesięć języków znam tak dokładnie,
Że kto mnie ujrzy wnet to odgadnie,
Pamiętam, kiedym bawił w Londynie,
Mis Lina za mną szalała strasznie,
Bo jestem wielki w słowach i w czynie,
Od niéj ten pierścień dostałem właśnie,
Wart pięć tysięcy! pięć! ani słowa,
Bo w nim z brylantów Meduzy głowa.
W Wenecji znowu hrabia Norino;
Poznał mię z żoną swoją hrabiną—
I licho chciało, że baba owa,
Co dla mnie wszystko zrobić gotowa,
Sprawiła smutnie, żem wśród wesela,
Zdradził drogiego mi przyjaciela.
Albo w Madrycie... ah! nic to jeszcze,
Słodszą nierównie pamiątkę pieszczę...
W miłym Paryżu— czy wiecie o têm,
Niby par Francji, sypałem złotem.
Jako sekretarz ministra przecie,
Żyło się w tedy... żyło na świecie...
Gdy wspomnę o têm—i znów w téj dobie,
Przed oczy stawię własny upadek,
Że bruk szlifuję, że nic nie robię,
Że na mnie patrzy pradziad i dziadek,
Że jestem goły, goły szkaradnie,
Że mię ten motłoch pojąć nie umie,
Wtedy oh! wtedy sądzę w rozumie,
Że za tę zbrodnię świat się zapadnie...

Fotografja bez retuszu.

Jak honor kocham głupie to sprawy,
Jeźli kto z groszem wpada do miasta,
Chociaż by tylko tu do Warszawy,
Djabli zabiorą grosze i basta!

Ot! jam przed laty młody i hoży,
Zajechał sobie w powabne mury;
Tak się uśmiechał do mnie świat boży,
I tak się jego wdzięczyły córy,
Żem jak szalony w pięknéj téj dobie,
Własnego szczęścia zazdrościł sobie—
niby próżny marzył zuchwale,
Że to tak będzie na wieki... ale...
Smutne to ale .. sprawiło właśnie...
Że .. niech to razem raz piorun trzaśnie.
Urocze nimfy, znajomi mili,
Do dna co prawda ogołocili.
Przyjaźn jak miłość djabła dziś warta,
Cóż z nich zostało dla mnie? nic... karta.
Grałem i grywam, różnie się plecie,
Dosyć, że żyję na bożym świecie.
Często o głodzie często o chłodzie,
Ale przy rublu — w pełnéj swobodzie,
Czasem ha! czasem, trudno, tak bywa,
Gdy człek na pewno fryca ogrywa,
To zadrży w piersiach serce człowiecze,
Więc chlapnę zdrowo i dreszcz uciecze.
Czasem znów, czasem — bywa to snadnie,
Za małą voltę, na grzbiet coś spadnie,
Ale co robić — co robić przecie,
Każdy, jak może żyje na świecie.

KOBIECE GRZECHY.

Wie o tém każdy i każdy téż przyzna,
Że nas fatalnie udręcza golizna.
Nie każdy jednak zrozumieć to raczy,
Że, jeśli zechce to będzie inaczéj,
A najprzód z sobą pomówmy dziś o tém,
Co téż właściwie nazywamy złotem?
Czy istne złoto, — czy też to w ogóle,
Co ma siedlisko w kieszeni, w szkatule?..

Boć przecie wiemy, że zawsze i wszędzie,
Miedziany grosik, groszem tylko będzie....
Lecz gdy tych groszy liczba stale wzrasta,
To wartość złota przerośnie i basta
Znają fenigi *sąsiedzi* niestety!...
I jak mężczyzni tak znają kobiety.
A nasze damy? a! ... to są anioły,
Każda z nich wiele wynosi ze szkoły;
Grają... śpiewają. . umieją języki...
Ale też za to nic arytmetyki.
Tymczasem od was, od was piękne damy,
Nieco rachunku i kredki żądamy.
Domowy budżet powiada dokładnie,
Jakto z was każda oszczędza tam snadnie,
Ile to groszy wytarguje w mieście,
Jak sama w kuchni palce parzy wreszcie.
Ale.., co prawda to z drugiéj znów strony,
Powiedźcie! gdzie jest grosz zaoszczędzony?
Oto z nie małą zwyżką, pochłania go moda....
Ogony... i przyznajcie... że najmniéj wygoda,
Więc płci powabna... urocza i miła...
Chciéj być oszczędną — a poznasz jak wiele,
Na mężczyzn wpłynie zachęty twéj siła,
I wybacz słowom wyrzeczoném śmiele.

Nasze przysłowia.

Różnemi drogi stąpa ubogi.

. . . .

Jan choć w ubóstwie miał spokój błogi.
Był panem czasu woli swéj panem,
I ot! zwyczajnym był sobie Janem.
Choć nie wynalazł druku, ni pary,
Był dość rozumny i pełen wiary.
Raz Jan w kieszeni czując gotówkę,
Na Saską Kępę pojechał sobie,
I mówiąc krótko w pięknéj téj dobie,

Zapoznał biedak miluchną wdówkę.
Miluchna wdówka w padła mu w oko,
Bo cmoknął w rączkę — westchnął głęboko,
I odtąd wzdychał, wzdychał co siła,
Aż też westchnęła i wdówka miła.
A owych westchnień te były skutki,
Że się skojarzył duet milutki.
Jan został mężem, ojcem pochwili,
Różnie tam różni o tém mówili,
Jan nic nie mówił — lecz wyraz twarzy,
Mówił: „ostrożny kto się raz sparzy.“

Do Czytelnika.

Życiowych scen tak wiele, jak wiele jest ludzi,
Każda chwila przebyta ileż wrażeń budzi...
Dziś je jednak zamykam ale nie na długo,
Bo wkrótce Scen Życiowych damy książkę drugą.

KONIEC.